

ANNE BEAUMONT

Kopciuszek w Paryżu

A Cinderella Affair

Tłumaczył: Jerzy Łoziński

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Skulona w strugach deszczu, pogrążona w myślach Briona nie dosłyszała trzasku drzwiczek samochodu, ani nie dostrzegła mężczyzny, który szerokim chodnikiem pognał wprost na nią. Poczwała dopiero impet zderzenia, zupełnie jakby wpadła na kamienny mur.

Na chwilę straciła oddech, a kiedy zatoczywszy się poderwała instynktownie głowę, wodne igiełki dotkliwie zakłuły ją w twarz. Zamajaczyła jej tylko przed oczyma wysoka i smukła sylwetka, w tym samym bowiem momencie obcas jej butów niebezpiecznie poślizgnęły się na mokrej nawierzchni.

Mężczyzna zareagował błyskawicznie: silne ręce pochwyciły ramiona dziewczyny, chroniąc ją przed upadkiem. Uścisk pewny i dziwnie przyjemny. Przez krótką, szaloną chwilę poczuła, że w obcym mieście nie jest już samotna i zagubiona.

Na mgnienie oka zastygła bez ruchu w jego ramionach. Gdzieś w głębi pragnęła, by ta sekunda fizycznej bliskości trwała dłużej. Zaraz jednak górę wzięła wrodzona nieśmiałość, a głos instynktu umilkł, stłumiony przez zakłopotanie. Mój Boże, a gdyby nieznajomy domyślił się, jakie wrażenie na niej zrobił?

Stropiona i oszołomiona, zdała sobie teraz sprawę z urody raptusa. Wyraziste męskie rysy, jasnoszare oczy ukryte za ciemnymi rzęsami, burza niesfornych ciemnych włosów, których zmoczone kosmyki skrzyły się na deszczu. Około trzydziestki, pomyślała. Otaczała go trudna do określenia aura człowieka, który żyje pełnią życia i nie zamierza spocząć na laurach.

Był... był ucieleśnieniem kobiecych marzeń, choć, oczywiście, nie jej marzeń, Matthew bowiem tak bardzo różnił się od nieznajomego. A jednak...

Splątane myśli Briony nagle się urwały. Zrozumiała, że stojąc tak uległa i gapiąc się na nieznajomego, może zrobić na nim wrażenie kokietki. Był typem mężczyzny, któremu dziewczyny same wpadają w ręce, nawet jeśli nie w tak dosłownym sensie, jak jej się zdarzyło.

Policzki jej pokryły się rumieńcem. Nie wiedziała, jak ponętny jest wyraz zmieszania na jej twarzy, nieświadoma też była zainteresowania, które rozbłysło w oczach mężczyzny.

Stropienie Briony pogłębiło się jeszcze, gdy nieznajomy przemówił. Jego francuszczyzna była tak płynna, że nie udawało jej się wychwycić żadnej ze znanych podręcznikowych fraz. Zupełnie zbита z tropu, pomyślała tylko, jak miły jest ton głębokiego głosu mężczyzny. Całymi godzinami mogłaby tak stać i słuchać go, nawet w strugach ulewnego deszczu, nawet nie rozumiejąc ani słowa. Przestraszyła się, że jej głupia reakcja jest może skutkiem szoku.

Przecież nigdy tak się nie zachowywała.

On tymczasem najwidoczniej nie zapomniał o deszczu, gdyż puścił ramiona dziewczyny, ujął ją za łokieć i poprowadził pod markizę rozpiętą nad wejściem do eleganckiej restauracji. Przemknęło jej przez głowę, że to przeznaczenie kazało mu biec chodnikiem.

Mówił bez przerwy, a z brzmienia głosu zgadywała, że to przeprosiny. Za chwilę na nią przyjdzie kolej. Rozpaczliwie szukała kilku odpowiednich słów, które złożyłyby się w jakieś zrozumiałe zdanie, gdy nieznajomy nagle zamilkł i uśmiechnął się nieznacznie.

Uroczy uśmiech. Briona widziała, jak rozkwita najpierw w oczach, łagodząc ostrość rysów, a potem rozlewa się na policzki, unosząc kąciki ust. Poczula idiotyczne pragnienie, by koniuszkami palców dotknąć tych zmysłowych warg.

Nie potrafiła pojąć, co się z nią dzieje. Stała oto, mrugając brązowymi oczyma pełnymi oszołomienia, rozchylając drżące wargi do słów, które nie chciały z nich się wydobyć. Wreszcie wykrztusiła: – *Pardon, monsieur, Je suis...* to znaczy, chciałam, *je regrette...*

– Ach, Angielka – parsknął śmiechem, gładko zmieniając język. – Powinienem był wcześniej się domyślić! Teraz rozumiem pani spokój; każda szanująca się Francuzka zrobiłaby mi straszną awanturę za moją niezdarność. Czy bardzo panią poturbowałem?

– Ach, nie, nie – wykrzyknęła Briona, szczęśliwa, że może przestać szperać w resztkach szkolnej francuszczyzny. Owszem, była poturbowana, ale nie fizycznie, zaś wzburzone uczucia dłużej dawały znać o sobie niż cielesne obrażenia. – To także trochę i moja wina. Taka ulewa, że nie patrzyłam, jak idę.

– Ja też – rzucił jakby odruchowo, zapatrzony w dziewczynę.

Było to miłe, ale także i denerwujące. Briona natychmiast zdała sobie sprawę ze wszystkich niedostatków swojego wyglądu. Ubrała się normalnie na przechadzkę po mieście, ani myśląc o żadnych czarownych spotkaniach. Niewiele w ogóle myślała o mężczyznach. Z wyjątkiem Matthew, oczywiście.

Obcisłe granatowe dzinsy, kozaczki i czerwony sweter wydawały się zupełnie odpowiednie na dzisiejszą okazję. Nie padało, kiedy opuszczała hotel, czerwony płaszcz przeciwdeszczowy zabrała więc tylko z czystej przezorności. Otulał ją teraz szczelnie, ona zaś lękała się, iż wygląda w nim nijako, a z całą pewnością nie oszałamiająco. Trzeba było bardziej zadbać o siebie. Nie pomyślała nawet o starannym makijażu, pośpiesznie tylko pomalowała usta, po czym już pewnie nie było nawet śladu. Poczula przypływ zniechęcenia, ale także uczucia winy, że tak mało troszczy się o siebie.

Nie podejrzewała nawet, jak uroczym rozbitkiem wydaje się w płaszczu spowijającym jej wysmukłą postać. Cera nieco blada, bez najmniejszej jednak skazy, ogromne, nieco skośne oczy nad wyraźnie podkreślonymi kośćmi

policzkowymi, usta miękkie, wydatne i pełne niewinnej zmysłowości. Gęste czarne włosy, spięte z tyłu, skryły się wprawdzie pod kapturem, ale kilka kosmyków opadło na czoło i skronie, przydając kokieterijności jej obliczu.

Briona z przykrością pomyślała, że wygląda okropnie. Wnet jednak serce zabiło nieco mocniej, gdyż oczy mężczyzny wyrażały coś zupełnie innego. Z widocznym zainteresowaniem wpatrywał się w nią intensywnie i najwyraźniej nic sobie nie robił z przedłużającego się milczenia.

Niewykluczone, iż w ogóle go nawet nie zauważył, niemniej Briona, niepewna i zakłopotana, poczuła, że musi coś powiedzieć.

– No cóż, nic mi się nie stało i, jak to mówią, wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– A coś się kończy? – spytał spokojnie. – Myślałem, że to dopiero początek.

Briona zeszywniała. W ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin pobytu w Paryżu zrozumiała, że dla Francuza flirt jest czymś równie prostym i naturalnym jak oddychanie. Z drugiej jednak strony wydawało się, że nieznajomy mówi zbyt poważnie jak na niezobowiązujący flirt. Poraziła ją nagle myśl, że oto coś się dzieje – już się stało! – między nimi. Teraz przyszło przerażenie. To nie w porządku. Trzeba natychmiast zakończyć ten incydent, cokolwiek miałyby znaczyć. Znalazła się w Paryżu, aby uporządkować, nie zaś skomplikować stan swojego ducha.

– To dopiero początek, mam rację? – nastawał intruz, uśmiechając się zniewalająco.

– Nie! – wykrzyknęła z niezamierzoną gwałtownością, ale była już bliska paniki. Zaczynała odczuwać w sobie drgania dzikiego, zakazanego podniecenia, które łatwo mogło wysliznąć się spod kontroli. Od trwogi można uciec, ale tamtemu uczuciu mogła z ochotą ulec. O Boże, co się ze mną dzieje, pomyślała.

– Tak – sprzeciwił się zdecydowanie.

– Pan nie rozumie – zaczęła pośpiesznie wyjaśniać Briona. – Jestem zaręczona. Niedługo wychodzę za mąż. Gdy tylko wrócę do Anglii... Chyba.

– Jakoś nie do końca jest pani tego pewna.

– Wprost przeciwnie, jestem. A w każdym razie będę, kiedy wszystko dokładnie przemyślę – oznajmiła, a własne słowa wydały jej się idiotyczne.

Zmarszczył brwi i wpatrzył się uważnie w dziewczynę. Poczła chęć rozpedzenia tej chmury nad oczami. Ratunku, pomyślała. Wpadłam tylko na jakiegoś niezgrabiasza i nagle wszystko zaczyna się komplikować. To idiotyzm, nie potrzebuję tego... Ale w istocie nie wiedziała, czego naprawdę potrzebuje.

Dostrzegł chyba jej niepokój, gdyż wyraz jego twarzy złagodniał, a z czoła zniknęła budząca obawę Briony zmarszczka. Delikatnie pociągnął dziewczynę w stronę restauracji ze słowami:

– Proszę, niech pani opowie mi o wszystkim podczas obiadu. To i tak znikoma rekompensata za moją niezdarność.

Obiad z tym właśnie mężczyzną. Propozycja była tak ponętna, brzmiała tak kusząco, że Briona tylko z najwyższym wysiłkiem ją odrzuciła.

– Nie, nie, niczym nie musi się pan rewanzować. Na chwilę zamilkł, ale nie puszczał jej ręki.

– Jest pani umówiona z narzeczonym?

– Nie – odparła, nieuleczalnie prawdomówna – ale...

– Z przyjaciółką? – nie ustępował.

– Nie – powiedziała trochę poirytowana, że natręt nie pozwala jej się zastanowić nad odpowiedzią. – Jestem w Paryżu sama, tylko że...

– A zatem nie ma żadnych przeszkód. – Zdecydowanie poprowadził ją ku drzwiom. – Jest pani zbyt młoda i niedoświadczona, żeby samotnie kręcić się po Paryżu. – W holu lekkim ruchem ściągnął jej kaptur z głowy i dodał: – Nawiasem mówiąc, również zbyt urocza.

Taka bezpośredniość zaparła Brionie dech w piersiach. Podobnie jak naturalność, z jaką zaczął rozpinąć jej mokrą pelerynę. Poufały jak kochanek. Jak kochanek! Dziewczyna była wstrząśnięta tak swoimi myślami, jak dreszczem, który przebiegł po jej ciele pod dotykiem stanowczych dłoni.

Trzeba to przerwać. I to zaraz, zanim nieznajomy zacznie sobie zbyt wiele wyobrażać. Ale... ale... Zawahała się przez króciutką chwilę, a tymczasem koło nich wyrósł jak spod ziemi kelner i możliwość łatwego odwrotu bezpowrotnie minęła. Zawsze lękała się jakichkolwiek niezręcznych scen w miejscach publicznych.

– Jest pan bezczelny – szepnęła rozgniewana tym, że przystojny natręt jakby odgadywał, co się z nią dzieje.

– Nie bezczelny, tylko zdesperowany – szepnął półgłosem. – To instynkt kazał mi panią zatrzymać. Jeśli podczas obiadu udowodni pani mojemu instynktowi, że się myli, nie będę się dalej narzucał. Czyż nie jestem zupełnie szczery?

– Nie wiem, doprawdy... – powiedziała z wahaniem.

– Proszę mi zaufać.

Briona na chwilę została ze swymi myślami, a on obrócił się do kelnera i wręczył mu mokre płaszcze. Znali się chyba, ale rozmawiali zbyt szybko, aby mogła ich zrozumieć. Rozejrzała się po wnętrzu restauracji, pełnym dyskretnej wytworności. Było to miejsce, jakich nauczyła się już unikać, gdyż najmniejsza filiżanka kawy kosztowała tam co najmniej dwa funty.

Znowu spojrzała na mężczyznę, który niemal siłą zaciągnął ją w to miejsce. „Proszę mi zaufać”, powiedział. Dobrze sobie; gotowa była się założyć, że dostaną najlepszy stolik. Od pierwszego spojrzenia wiedziało się, że ten człowiek zawsze dostaje to, czego chce. Taksówkę podczas ulewnego deszczu...

wymarzoną dziewczynę w łóżku...

Ach, te nieposłuszne myśli! Przestraszona samą sobą Briona pokręciła lekko głową, co natychmiast przyciągnęło uwagę mężczyzny. Jego dłoń wśliznęła się znowu pod jej ramię – ten delikatny i zarazem tak stanowczy dotyk! – i oto wkraczali już do sali restauracyjnej.

Minęło dopiero południe, a w lokalu było już bardzo tłoczno. Elegancyści mężczyźni, kobiety w kosztownych kreacjach, pomyślała Briona, i pośród nich ja, w dzinsach, kozaczkach i swetrze, który pamiętał znacznie lepsze czasy. Czowała, iż wszystkie oczy spoczęły na niej, ale zaraz pomyślała, że to raczej jej towarzysz przyciąga spojrzenia. Skrzywiła się nieznacznie; niepewność czyniła z niej zakompleksioną nastolatkę.

Kelner poprowadził ich do narożnego stolika w pobliżu okna wychodzącego na zalaną deszczem ulicę. Gdyby od niej zależała decyzja, także wybrałaby to samo miejsce. Krzesło podsunął jej nieznajomy, który potem obszedł stolik i usiadł naprzeciwko. Kelner ułożył przed każdym z nich grube, oprawione w miękką skórę menu i zniknął.

– No dobrze, siedzę tutaj z panem, choć naprawdę nie wiem, jak do tego doszło – powiedziała Briona zaczepnie, starając się w ten sposób ukryć stropienie. – Zawsze jest pan taki natarczywy?

– Tylko wtedy, kiedy się boję – powiedział z powagą, którą ona przyjęła ze sceptycznym spojrzeniem.

Przez chwilę patrzyła na ramiona, których szerokości nie był w stanie ukryć skrojony ze smakiem garnitur, a potem rzuciła ironicznie:

– A czegoż to boi się pan tym razem?

– Że panią stracę.

I znowu serce stanęło na chwilę: owa obezwładniająca bezpośredniość, owa szczerość w oczach, które mówiły, że on, w przeciwieństwie do niej, wcale nie lęka się tego, co staje się między nimi.

– Nie, proszę – zaprotestowała gwałtownie. – Nie życzę sobie flirtów. Nie przyjechałam do Paryża w poszukiwaniu miłostek.

– Ani przez moment tak nie pomyślałem.

– Hmm. – Znowu się stropiła. – Więc dlaczego...? – Nie bardzo wiedziała, jak skończyć zdanie, żeby nie wyjść na idiotkę. Może to tylko przewrażliwienie, może zupełnie opacznie odczytała jego intencje.

Szybko odpowiedział na nie dokończone pytanie.

– Nie znoszę samotnie jeść obiadu, czyż mogłem więc przepuścić okazję tak czarującego towarzystwa? Przepraszam, jeśli zachowałem się trochę niezdarnie, ale nie przypuszczałem, że zaproszenie do znanej restauracji ktoś uzna za chwyt podrywacza.

– Wcale tak nie pomyślałam, ale...

– Świetnie – przerwał jej. – Skoro to już ustaliliśmy, może byśmy się

wreszcie sobie przedstawili. Nazywam się Paul Deverill.

Poczuła się jak w ślepym zaułku; nie wiedziała, jak wybrnąć z sytuacji. Nie była prowincjonalną gąską, która nie potrafi rozpoznać bawidamka, z drugiej jednak strony, jakież niebezpieczeństwo mogło się wiązać z elegancką restauracją w centrum Paryża? To niewątpliwie przygoda, ale niekoniecznie miłość. Przynajmniej na razie.

– A pani? Jak pani się nazywa? – delikatnie nalegał Paul Deverill.

– Briona Spenser.

– Briona. – Powtórzył jej imię w jakiś swoisty, melodyjny sposób, a potem ze słowami „Witaj, Briono!” wyciągnął ku niej rękę i jego twarz rozjaśnił uśmiech, któremu trudno się było oprzeć.

Cóż mogła zrobić; podała mu dłoń, a ledwie dotknęła palców Paula, doznała znowu owego cudownego uczucia, że nie jest już samotna, gdyż ktoś o nią dba. Mężczyzna tymczasem lekko ścisnął jej rękę, a następnie podniósł do ust i ucałował.

Uważaj, to oszust, pomyślała w panice, czując lekkie drzenie przebiegające po ciele.

– Kim pan właściwie jest, Anglikiem czy Francuzem? – zapytała z irytacją. – Co chwila wydaje się pan kimś innym!

– Anglikiem, ale wychowanym po obu stronach Kanału. Babka była Francuzką i wiele czasu spędzałem z nią w Paryżu, kiedy rodzice wyjeżdżali. Teraz są już właściwie na emeryturze, będąc jednak dziennikarzami nadal wiele podróżują po świecie. Babka umarła trzy lata temu, ale zachowaliśmy mieszkanie po niej. Zajmuje je moja siostra, Chantal, modelka.

– A pan? – spytała Briona.

– Także jestem dziennikarzem. Pracuję w firmie ojca, Universal Press.

Brionie nie była obca nazwa międzynarodowej agencji informacyjnej. Poczuła przyływ żalu; należeli do dwóch różnych światów. On, człowiek żyjący na szczytach, był zupełnie do niej niepodobny.

– Teraz kolej na mnie – powiedziała, nie widząc sensu w upiększaniu rzeczywistości. – Dyplomowana hotelarka, co jak na razie jest tylko dumnym określeniem dla recepcjonistki. Po skończeniu kursu przyjęta zostałam na praktykę w Dabell’s Hotel na Kensingtonie, ale roczny kurs dobiegł właśnie końca i muszę ustąpić miejsca następnym absolwentom. Przez czas trwania kontraktu mieszkałam w Dabell’s, niedługo więc będę musiała zacząć rozglądać się za pracą i mieszkaniem, ale na razie...

Briona zamilkła, zdumiona tym, jak wiele o sobie powiedziała. W Paulu było coś, co skłaniało do wyznań. A może to specyficzny dar dziennikarzy.

– Ale na razie przyjechałaś do Paryża – dokończył za nią. – Dlaczego?

Unikając spojrzenia jasnych, szarych oczu, wyrzała przez okno. Ulewa była zbyt gwałtowna, by mogła potrwać długo, i na mokrym chodniku

połyskiwało już blade słońce. Na ulicy opustoszałej podczas deszczu znowu pojawili się ludzie. W ich tłumie mogliby teraz z Paulem w ogóle nie zwrócić na siebie uwagi. Ciekawe; przypadek, los?

– Dlaczego? – powtórzył łagodnie.

Briona spojrzała na pytającego w zamyśleniu, gdyż ostatecznie nic nie wydawało się dobrym wytłumaczeniem. W końcu wzruszyła ramionami.

– Taki impuls – powiedziała. – Po prostu zwariowana zachcianka, nic więcej.

Paul uniósł dłoń i przywołał kelnera z kartą win.

– Wypijmy za zachcianki; im bardziej zwariowane, tym lepiej.

Chciała zaprotestować, że zazwyczaj jest osobą zrównoważoną, nie poddającą się impulsom, ale mężczyzna już składał zamówienie. Wychwyciła słowo „szampan”, które musiało mieć w sobie coś magicznego, gdyż nagle chęć sprzeciwu gdzieś zniknęła. Ogarnęło ją błogie uczucie niefrasobliwości.

Paul miał w tym swój niewątpliwy udział, niemniej godzina radości nagle przestała jej się wydawać zbrodnią stulecia. Matthew o niczym się nie dowie, nie będzie więc miał powodu do żartów, ona zaś na chwilę zapomni o troskach i niepewnościach, co będzie tylko z pożytkiem dla całej sprawy.

Kelner oddalił się po trunek, zaś Paul sięgnął po menu.

– Czas, żebyśmy zamówili także coś do jedzenia – oznajmił. – Rozszyfrować francuskie nazwy potraw?

Briona pokręciła głową. – Nie, dorabiałam jako kelnerka we francuskiej restauracji.

– Żeby zarobić na wyjazd do Paryża?

– Żeby zarobić na wesele – sprostowała chłodno.

– Przepraszam, że o to spytałem.

Na widok nagle spochmurniałej twarzy Paula Briona leciutko uśmiechnęła się nad rozłożoną kartą. Przerzuciła ją, spoglądając przede wszystkim na ceny, które zgodnie z przewidywaniami były astronomiczne. Podniosła zakłopotane oczy i z trudem wyznała:

– Wolalabym zapłacić za siebie, ale, będę szczerą, nie mogę. Zrujnowalabym cały tygodniowy budżet.

– W przeciwieństwie do mojego, przecież to ja cię zaprosiłem. Nie powinnaś obawiać się jakichkolwiek zobowiązań. Wyświadczasz mi przysługę; jak mówiłem, nienawidzę samotnych obiadów. – Po tym zapewnieniu Paul natychmiast zmienił temat. – Na przekąskę polecałbym *aubergines fourres*, chyba że wolisz coś lżejszego.

– Raczej tak – przyznała Briona. – Nie jestem przyzwyczajona do jedzenia w południe. Wolę poczekać na solidną kolację i dać sobie najczęściej spokój z obiadem.

– Nie dzisiaj – zdecydowanie sprzeciwił się Paul i przewrócił stronę. – A

co powiedziałybyś na *melon a l'orange*?

– Właśnie nad tym się zatrzymałam. Brzmi nieźle.

– A główne danie?

– *Homar Thermidor* – powiedziała, bez reszty żegnając się ze skrupułami i rozważą. Kiedy znowu będzie miała okazję jeść tak wykwintnie? Na pewno nie za rok i nie za dwa. Myślała, że poczucie winy wobec Matthew zepsuje jej humor, ale nic takiego nie nastąpiło. Chyba także i sumienie pogodziło się z faktem, iż nastąpiła godzina szaleństwa i dopiero potem powróci czas normalnego życia.

To nie ona, Briona Spenser, to jakaś inna istota, której naprawdę nie ma. Wspaniale było chociaż na sekundę stać się kimś innym; a skoro nikt nie zostanie skrzywdzony, co w tym złego?

– Ja także wezmę homara – zdecydował się Paul – ale na początek pozostanę przy bakłazanie.

Ledwie zamknął kartę, natychmiast pojawił się kelner. Kiedy oddalił się z zamówieniem, nadjechał szampan.

Kelner z zachowaniem pełnego ceremoniału wydobył korek, napełnił kieliszki, umieścił butelkę w wiaderku z lodem i znowu zostali sami.

– Za zachcianki – wzniósł toast Paul.

– Za zachcianki – zawtórowała mu Briona, odwzajemniła uśmiech i jednocześnie wypili. Skrzywiła nos przed bąbelkami, ale i to należało do rytuału, kiedy więc zobaczyła uporczywy wzrok zalotnika, uśmiechnęła się jeszcze promiennie.

– Teraz znacznie lepiej – powiedział. – Nareszcie się odprężyłaś.

– Nie potrafię nad tym zapanować. Przy szampanie zawsze czuję się odrobinę zepsuta.

– Bardzo ci z tym do twarzy. Znacznie częściej powinnaś być psuta. Policzki znowu ci się zarumieniły i przypominasz teraz rozkwitającą różę, która z każdą sekundą jest coraz piękniejsza.

Briona zarumieniła się jeszcze bardziej, Paul zaś ciągnął:

– Żeby odegnać podejrzenia, że cię podrywam, proponuję następny toast: za twój ślub.

Powrót do rzeczywistości sprawił jej nieoczekiwane przykrość, której nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Nie ukrywała przecież, że jest zaręczona, skąd więc to uczucie głębokiego, bolesnego żalu na dźwięk jego słów? Jakie to wszystko idiotyczne!

– Nie chcesz wypić za swój ślub, Briono? – cicho zapytał jej towarzysz.

– Ależ tak, oczywiście. – Chwyciła za kieliszek i pociągnęła łyk tak gwałtownie, że aż się zakrztusiła.

Paul także wypił, znacznie jednak spokojniej, nie spuszczać oczu z jej twarzy. Zamierzał właśnie coś powiedzieć, kiedy przyniesiono przystawki, i

dopiero po kilku minutach jedzenia w milczeniu, odezwał się:

- A czy teraz zdradzisz mi tajemnicę?
- Jaką tajemnicę?
- Twoją.

To ostatnie słowo wibrowało przez dłuższą chwilę w powietrzu, aż wreszcie Briona wybuchnęła śmiechem.

– Chyba żartujesz? Jestem najmniej tajemniczą ze wszystkich istot na świecie.

– Nie dla mnie. – Paul oparł łokcie na blacie stolika i złożył dłonie przy ustach, stykając i rozwierając palce. – Po pierwsze, powiadasz, że niebawem wychodzisz za mąż. Po drugie, część oszczędności zarobionych z myślą o ślubie poświęcasz na samotny wyjazd do Paryża. Po trzecie, zapytana o przyczynę, mówisz, że to zachcianka. Bardzo pięknie, jednak nie jest to zachcianka z rzędu tych, jakie zwykle miewają dziewczyny tuż przed ślubem. Czyż nie mam więc racji, kiedy mówię o tajemnicy?

– Może rzeczywiście dla kogoś postronnego wygląda to trochę dziwnie – przyznała z ociąganiem Briona.

Paul dokończył bakłazana, ale nie doczekawszy się dalszego ciągu, zapytał:

– Strach przed czymś zupełnie nowym?

– Chyba... chyba tak – zgodziła się dziewczyna z pewną niechęcią, gdyż wydawało jej się, że jest trochę nielojalna wobec narzeczonego. Dokończyła melona i natychmiast stół uprzątnięto, aby nakryć do głównego dania. W trakcie krzątania kelnerów dodała: – Nie chciałabym, żebyś spieszył się z wnioskami. Tworzymy z Matthew bardzo dobraną parę i chodzi tylko o to, że muszę oswoić się z nową sytuacją, przyzwyczaić się do niej.

Tłumacząc się jak niedojrzała emocjonalnie nastolatka, pomyślała z niechęcią. Człowiek tak wyczulony na smaki życia jak Paul Deverill na pewno już w tej chwili żałuje, że zaprzętnął sobie nią głowę.

– Ile masz lat, Briono? – zapytał, jakby czytając w jej myślach.

– Dwadzieścia jeden.

– Nie wyglądasz na tyle.

– Chodzi ci o to, że wygaduję głupstwa jak licealistka, prawda?

– Niczego takiego nie powiedziałem.

– Ale tak sobie pomyślałeś, jestem jednak dostatecznie dorosła, żeby wiedzieć, co się ze mną i we mnie dzieje. – Briona zmarszczyła w skupieniu czoło. – Matthew, mój narzeczoney, wyprowadził mnie z równowagi telegramem tak nieoczekiwanym i tak zaskakującym, że nie potrafiłam spokojnie wszystkiego przemyśleć. Chyba nawet wpadłam w lekką panikę. Zdawało mi się, że muszę przez chwilę spojrzeć na całą sprawę z oddalenia, żeby zobaczyć wszystko we właściwej perspektywie i dokładnie rozważyć. Oto dlaczego

znalazłam się w Paryżu.

Z sosu, jakim polany był homar, Briona wyłowiła dwa plasterki grzybów i niosąc je do ust pożałowała, że nie trzymała języka za zębami, gdyż wszystko zabrzmiało rozpaczliwie głupio. Zupełnie nie wiedziała, jak wytłumaczyć, że było to zachowanie zupełnie nie pasujące do trzeźwej, zrównoważonej osoby, którą była na co dzień.

– Kiedy dostałaś depeszę? – zapytał Paul.

– W czwartek.

Uniósł brwi ze zdziwieniem.

– A kiedy przyjechałaś do Paryża?

– W sobotę.

– Nie tak wygląda nagły atak paniki – powiedział sucho.

– Co takiego niezwykłego było w telegramie?

– Ze w następną sobotę Matthew wraca do domu i niezwłocznie powinniśmy wziąć ślub. Jest teraz w Stanach, miał wrócić w lipcu, a jest przecież dopiero początek marca. Właściwie powinnam była uznać to za cudowną niespodziankę, ale nagle poczułam, że... że nie jestem przygotowana. Zupełnie tego nie rozumiałam i dlatego... – Głos uwiązał jej w gardle.

– I dlatego uciekłaś – dokończył Paul. – Aż do Paryża.

– Nie, to zbyt wiele powiedziane – sprzeciwiła się Briona.

– Zaszłam do agencji turystycznej, żeby załatwić kilkudniowy pobyt w Brighton albo podobnej miejscowości, kiedy właśnie ktoś odwoływał wyjazd do Paryża. To był ostatni tydzień zimowych cen; pokój, śniadanie, podróż, wszystko wypadło w sumie bardzo tanio. I zanim się połapałam, już płaciłam. Mówiłam ci, to była nagła zachcianka, taki impuls.

Paul odchylił się na krześle i popatrzył na nią badawczo.

– Wiesz, że zdenerwowanie przed ślubem oznacza zazwyczaj ukryte wątpliwości.

– Tak, wiem – powiedziała dziewczyna, odkładając nóż i widelec. – Jestem jednak pewna, że stanowimy dobraną parę.

– Wcale nie jesteś tego pewna, gdyż inaczej nie uciekłybyś do Paryża.

– Nigdzie nie uciekłam – z ożywieniem zaprotestowała Briona. – A gdyby nawet zresztą... Ach, nie znasz po prostu całej sytuacji!

Na ustach Paula nagle pojawił się czarujący uśmiech. Mężczyzna siedzący naprzeciwko Briony powiedział ze szczerością, której zaczynała się bać:

– Wydaje mi się, że dostatecznie dużo wiem teraz o tobie i Matthew, by wykorzystać to na swój użytek.

– Pppoożytek? – wyjąkała zdumiona.

– Tak. – Paul wydobyl butelkę szampana z wiaderka i napełnił lampki. – To równie dobry moment jak każdy inny, żeby wyznaczyć, iż miałem ważniejszy

jeszcze powód, żeby zaprosić cię na obiad.

– Wważniejszy powód? – wyszeptwała, pragnąc przestać się jąkać i nie powtarzać wszystkiego po nim jak papuga.

– Tak, właśnie. – Mężczyzna uniósł w toście kieliszek. – Za nas, Briono. Na tę jedną noc.

ROZDZIAŁ DRUGI

Paul wychylił kieliszek, ale Briona nawet nie tknęła swojego.

– Może nie mam poczucia humoru, ale ten dowcip jakoś zupełnie mnie nie śmieszy – powiedziała z gniewem.

– W takim razie pół nocy – targował się, zupełnie nie speszony.

– O nie! Obiad zupełnie wystarczy.

– Obawiasz się, że wspólna noc nazbyt mogłaby ci się spodobać?

– Przestań!

– Zdaje się, że mam rację. Przyjechałaś do Paryża, aby zdecydować, czy jesteś gotowa do małżeństwa. Stracony wysiłek, jeśli nie masz nawet odwagi, by swoje wątpliwości wystawić na próbę.

Brionie na chwilę zabrakło słów; jak to możliwe, że coś bezwzględnie karygodnego zabrzmiało całkiem rozsądnie?

– Na jaką znowu próbę? – spytała w końcu.

– Dzisiaj wieczorem moja siostra wyprawia małe pożegnalne party. Wyjeżdża na dziesięć dni na pokazy mody na Wyspach Bahama. Chciałbym cię zaprosić. Jeśli przyjemnie spędzisz czas w moim towarzystwie, być może dojdiesz do wniosku, że Matthew wcale nie jest tak ważny w twoim życiu. – Paul zawiesił głos, a potem dodał z naciskiem: – Gdyby tak się zdarzyło, nie wychodź za niego. Pewnego dnia spotkasz kogoś, kto będzie dla ciebie naprawdę ważny.

I znowu brzmiało to, o dziwo, całkiem sensownie, niemniej Briona zapytała podejrzliwie:

– A jaki ty masz w tym interes?

– Pokażę się na party w towarzystwie pięknej dziewczyny. Podobnie jak ty, nie bardzo wiem, co począć ze sobą w Paryżu.

– Aha.

Była nieco zaskoczona, ale nie miała czasu dokładniej się zastanowić, gdyż kelner zaczął uprzątać stolik.

– Co chciałybyś na deser? – zapytał Paul.

– O nie. Nic już nie przełknę.

Mężczyzna powiedział coś do kelnera, a kiedy znowu zostali sami, Briona rzekła:

– Wydawało mi się, że pracujesz tutaj dla agencji informacyjnej.

– Nie. Dwa lata spędziłem w Izraelu, a przed wyjazdem do Hongkongu chcę wykorzystać zaległy urlop.

Hongkong... Na drugim krańcu świata. Briona poczuła, że nie chce, aby on jechał tak daleko, natychmiast jednak skarciła się za tę myśl.

– Na długo jedziesz? – rzuciła tonem możliwie jak najbardziej obojętnym.

– Raptem trzy miesiące. Mam kierować tamtejszym biurem, gdyż kolega idzie na dłuższy odpoczynek.

– A potem?

– Przez dwa lata będę prowadził nasze nowojorskie biuro. – Paul znowu popatrzył na nią przeciągle. – Dziś mamy niedzielę, do Hongkongu wylatuję w sobotę wczesnym rankiem. A ty?

– Ja też wracam w sobotę.

– Widzisz, jaki zbieg okoliczności? Obydwoje mamy pięć wolnych dni; dlaczego nie mielibyśmy spędzić ich razem? Pokazałbym ci Paryż, a poza tym miałbym wymówkę przed siostrą, która za wszelką cenę chce mnie uszczęśliwić jedną ze swoich koleżanek. Obawiam się, że to jest prawdziwa przyczyna tej dzisiejszej prywatki; ja jednak wolę sam sobie wybierać dziewczyny.

– To pięknie, tyle że ja nie jestem twoją dziewczyną – oznajmiła kwaśno Briona.

– Moja siostra o tym nie wie!

Briona czuła, że coś jest tu zdecydowanie nie w porządku, kiedy jednak chciała zaprotestować, pojawił się znowu kelner i przed każdym z nich ustawił mały pucharek z deserem.

– Ja nic nie chciałam! – obruszyła się.

– Pozwoliłem sobie zdecydować za ciebie. Mają tutaj naprawdę dobre lody. Nawet nie zauważysz, kiedy znikną.

– Nie raczyłeś zapytać mnie o zdanie. Zawsze musi stanąć na twoim – mruknęła poirytowana Briona, ale odruchowo spróbowała lodów i stwierdziła, że są istotnie znakomite. Trudno też byłoby zarzucić coś świeżutkim, kruchym biszkoptom. – To party – mruknęła znad swojego deseru. – Dużo tam będzie ludzi?

– Z Chantal nigdy nic nie wiadomo, ale raczej tak. Jedną tylko rzecz mogę gwarantować: będzie naprawdę miło.

– Zdaje się, że nasze wyobrażenia na temat tego, co miłe, a co nie, mogą się okazać bardzo odmienne – powiedziała z rezerwą.

– Wystarczy jedno twoje słowo, a natychmiast odwiozę cię do hotelu – obiecał Paul. – Nawiasem mówiąc, gdzie się zatrzymałaś?

Briona już bez zastrzeżeń pałaszowała lody.

– Hotel Marie-Louise, po wschodniej stronie, tuż przy Avenue de la Republique.

– Będę tam o ósmej.

– Chwileczkę, wcale jeszcze nie powiedziałam, że idę – zaprotestowała dziewczyna.

– Briono, chyba nie chcesz mnie przekonywać, że to takie przyjemne wałęsać się samotnie po obcym mieście, szczególnie jeśli na dodatek nie zna się języka.

– Nie – przyznała, pamiętając, jak rozpaczliwie samotna poczuła się już po jednym dniu i jak obawiała się, że przez pomyłkę może zbłądzić w niebezpieczne rejony. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby z natury była osobą stanowczą; tymczasem wrodzona niepewność bez ustanku kazała jej się lękać, że nieoczekiwanie wpadnie w jakąś kłopotliwą sytuację.

– Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za natręta? – zapytał Paul.

Rzuciła mu zawstydzone spojrzenie, ale zgodnie z prawdą odpowiedziała:

– Nie.

– Więc jesteśmy umówieni. Zobaczysz, jak będzie, a potem zdecydujesz, czy chcesz razem ze mną zwiedzać Paryż.

Był tak pewny siebie, że nie potrafiła mu się sprzeciwić.

– Ale nie mam w co się ubrać. Wyjeżdżając po prostu wrzuciłam do walizki, co mi się nawinęło pod rękę. W piątek pracowałam do późna wieczór, w przerwie obiadowej starczyło mi ledwie czasu, żeby wymienić trochę pieniędzy, a wyjeżdżałam w sobotę z samego rana. Nie miałam nawet chwili, żeby się zastanowić.

– Znam to dobrze – mruknął Paul. – To może wypijmy jeszcze raz za nagłe zachcianki.

Briona potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję. Zapomnę, że u was jest ruch prawostronny i jeszcze wpadnę pod autobus. Ale niech pan się mną nie krępuje.

– Mówiąc szczerze, także i ja nie mogę. Chantal nie korzystała dziś z samochodu, więc ja się nim zaopiekowałam.

– Tak jak mną? – zapytała kąśliwie Briona.

– Z przedmiotami sprawa jest łatwiejsza, ale i mniej interesująca. Jeśli chodzi o strój, możesz się naprawdę nie przejmować. Chantal zawsze powtarza, że wszyscy mają się czuć swobodnie, bo mody i jej wymogów ma dość na co dzień.

Paul skinął na kelnera i zamówił kawę. Kiedy ją podano, podniósł filiżankę do ust i zauważył:

– Nie nosisz pierścionka zaręczynowego.

Briona spojrzała na serdeczny palec lewej dłoni i wzruszyła ramionami.

– Powiedzmy, że to problem pieniędzy. Kiedy zaręczyliśmy się z Matthew, mieliśmy tylko stypendia i zawsze podczas wakacji musieliśmy dorabiać. Pierścione nie był aż tak ważny; w naszej sytuacji znacznie istotniejsza była decyzja, że chcemy być razem. Masz swoje życie i nie zrozumiesz tego.

– Spróbujmy – powiedział miękko Paul i pochyliwszy się przez stół, lekko ścisnął dłoń Briony. – Po pierwsze, co masz na myśli, mówiąc „w naszej sytuacji”?

Dziewczyna nie była pewna, czy to przy nim język tak łatwo się

rozwiązywał, czy może to ona chciała się przed kimś wywnętrzyć, tak czy owak, niemal bez chwili wahania zaczęła mówić.

– Żadne z nas nie miało łatwego dzieciństwa. Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, rodzice Matthew rozeszli się i żadne nie chciało go u siebie. Wychowywaliśmy się zatem podobnie: w domach dziecka, czasami przygarniani na wakacje czy święta, ale zawsze bez poczucia, że gdzieś mamy swoje własne miejsce. Dlatego oboje jesteśmy nieufnymi samotnikami, którzy lękają się przelotnych uczuć. – Briona roześmiała się nerwowo. – Przerwij mi, jak zaczniesz umierać z nudów.

– Nie obawiaj się, nie jestem typem męczennika. Gdybyś mnie zanudzała, dawno już byśmy się rozstali – odparł. – Gdzie się wychowałaś?

– W Norfolk. Potem w Norwich chodziłam do szkoły hotelarskiej, wraz z czworgiem innych osób wynajmując mały domek. Jedną z tych osób jest Matthew. To bardzo zdolny chłopak, był wtedy na drugim roku fizyki. Rzadko go widywałam, mówiliśmy sobie tylko w przejściu „Dzień dobry”, a ja oczywiście nie wiedziałam wtedy, że to z racji naszego samotnictwa.

Paul kiwnął na kelnera, prosząc o dolewkę kawy i powiedział:

– Wcale nie wyglądasz na odludka.

– Nigdy z pewnością nie będę szaloną ekstrawertyczką – uśmiechnęła się Briona – ale i tak dzięki Matthew jestem dziś o wiele mniej zamknięta w sobie. Na drugim roku w college’u zachorowałam na gorączkę gruczołową; dopiero po kilku miesiącach doszłam do siebie, na ten czas musiałam przerwać naukę, a opiekował się mną Matthew. Trudno mi sobie wyobrazić, co bym wtedy zrobiła bez niego. Z troszczył się o wszystko, nawet o to, żebym bez żadnych kłopotów mogła podjąć naukę na jesieni. – Briona zapatrzyła się w okno, najwyraźniej zatopiona we wspomnieniach, i mówiła dalej cicho, jakby tylko do siebie. – Kiedy wyzdrowiałam, wszystko wyglądało zupełnie inaczej: nie byłam już tak beznadziejnie samotna. Miałam teraz przy sobie przyjazną duszę, kogoś, o kogo sama mogłabym się troszczyć i kto troszczył się o mnie. Zbliżaliśmy się do siebie coraz bardziej; możliwość wzajemnego zaufania była wielkim przeżyciem dla ludzi takich jak my, którzy dotychczas musieli polegać jedynie na sobie samych. Nie potrzebowaliśmy słów, by wiedzieć, że należymy do siebie.

Paul napił się kawy.

– No, ale przecież kiedyś w końcu przemówiliście, bo skąd inaczej zaręczyny? – powiedział uszczypliwie.

– Oboje wtedy kończyliśmy, on studia, ja college – odrzekła Briona z lekkim rumieńcem na twarzy – a tak bardzo wtopiliśmy się nawzajem w swoje światy, że bez specjalnych ceremonii postanowiliśmy, że na zawsze zostaniemy ze sobą. Ot, i całe zaręczyny. Potem otrzymaliśmy dyplomy, Matthew został wyróżniony nagrodą rektorską, i musieliśmy się rozdzielić. Był tak dobrym studentem, że firma z Kalifornii, która chciała go potem zatrudnić, ufundowała

mu studia doktoranckie. To była dla niego wielka szansa.

– A dlaczego nie pojechałaś z nim?

– Wtedy nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Otrzymałam ofertę pracy w Londynie i zaczęłam odkładać pieniądze. W czerwcu mieliśmy wziąć ślub, a potem już wspólnie wyjechać do Kalifornii. No i znienacka ten telegram, że przyjeżdża i natychmiast ślub.

– Bardzo romantyczne – skrzywił się Paul. – Powinnaś być w siódmym niebie.

– Wiem, ale to takie do niego niepodobne. Matthew jest taki... taki systematyczny. Wszystko starannie planuje z góry i nigdy się nie zdarza, żeby raptownie zmieniał zdanie. Obawiam się, że stało się coś okropnego, ale z telegramu nic nie można było wywnioskować.

– Mówiąc szczerze – oznajmił Paul – o wiele bardziej interesuje mnie, co się dzieje z tobą.

Briona przygryzła wargi i uciekła z oczyma.

– Sama nie wiem – wyszeptała po chwili. – To tylko taka chwila.

– Znowu zamykasz się w sobie.

– Nie, nie – sprzeciwiła się z ożywieniem – tylko... tylko nie mogę dojść do ładu ze wszystkim. Nie mam żadnych wątpliwości, że z Matthew należymy do siebie, ale z drugiej strony nie jestem już taka sama. Ten rok w Londynie bardzo mnie zmienił. Polubiłam pracę, poznałam sporo nowych ludzi, nauczyłam się radzić sobie w sytuacjach, które przedtem wprawiały mnie w panikę. A wszystko dzięki temu, że Matthew dał mi poczucie bezpieczeństwa, którego wcześniej nie znałam. Wiele mu zawdzięczam, ale...

– Ale nie życie, prawda? – bezceremonialnie wtrącił się Paul. – To są te słowa, które boisz się powiedzieć?

Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie! Nie! Wiedziała, że nie zrozumiesz, nikt zresztą tego nie pojmie...

Zapadło milczenie. Wiedziała, że Paul utkwiał w niej natarczywe spojrzenie, ale nie chciała napotkać jego oczu. W końcu wyznał z rezygnacją:

– Niech ci będzie, że nic nie rozumiem. Mógłbym powiedzieć, co o tym sądzę, ale wolę milczeć, niż mieć skręcony kark.

Miał tak figlarną minę, że cała jej irytacja nagle się gdzieś rozplynęła.

– Spróbujmy – oznajmiła, jak on kilka chwil temu. Roześmiał się wesoło.

– Szybko się uczysz, to nie ulega żadnej wątpliwości. Zabrzmiało w tych słowach uznanie, które sprawiło jej większą przyjemność, niż gotowa byłaby przyznać sama przed sobą.

– I to jest właśnie ten sąd, z którym tak bardzo bałaś się zdradzić? – zapytała, chroniąc się za maską ironii.

– Myślę, że to nie będzie zbyt przyjemne, Briono. Znowu poczuła przyływ irytacji.

– W takim razie lepiej zachowaj swoją opinię dla siebie – mruknęła gniewnie.

– Z pewnością tak zrobię do chwili, gdy będziesz gotowa jej wysłuchać.

– Co może nigdy nie nastąpić.

– Na tym polega moje ryzyko.

Briona chciała zapytać, co ma znaczyć ta uwaga, ale Paul dawał już znaki kelnerowi, że chce zapłacić rachunek. Poczowała się dotknięta: zupełnie jakby była tylko pionkiem w grze czy lalką w teatrzyku. Sama jestem sobie winna, pomyślała. Zaprosił mnie jedynie na obiad, a ja zaczynam opowiadać mu o rzeczach, których nie można wytłumaczyć, które można tylko odczuć...

Znowu była niepewna, zalekniona i śmieszna. Nie jest z pewnością kobietą, z którą Paul chciałby się publicznie pokazywać. Jedynym uczciwym rozwiązaniem jest pozwolić mu wycofać się, pomyślała, w przerażeniu zupełnie zapominając, że przecież to od niego wyszła inicjatywa.

Sięgnęła po torebkę i rękawiczki, a wstając od stołu powiedziała:

– Słuchaj, chyba pomyliłeś się, zapraszając mnie do swojej siostry, więc...

– Nie, to nie była pomyłka. Ale i ty nie zrobiłaś błędu zgadzając się, ręczę ci.

Uregulował rachunek, obszedł stół i podał jej ramię. Briona jak w półśnie dała się poprowadzić do szatni, a potem w kierunku drzwi wyjściowych. Zupełnie nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Jeszcze nigdy dotąd nie spotkała kogoś podobnego do Paula, przy kim rzeczy rozgrywałyby się w tak szaleńczym tempie. Była ciekawa, czy to jego zwykły sposób bycia, czy też rozmyślnie nie chciał dać jej ani odrobiny czasu na zastanowienie i opamiętanie.

– Chcesz włożyć swój przeciwdeszczowiec? – zapytał, kiedy znowu znaleźli się pod markizą.

– Nie. – Była zadowolona, że pytanie nareszcie dotyczyło kwestii tak normalnej i prostej jak ubiór. Świeciło słabe słońce, nie było zimno. Wzięła od niego płaszcz i przerzuciła przez ramię.

– Dokąd zmierzałaś, gdy na ciebie wpadłem? Jeśli chcesz, mogę cię gdzieś podrzucić – zaproponował.

Z jakiejś przyczyny Briona poczuła się rozczarowana, że jej nowy znajomy nie obstawał przy projekcie przechadzki po Paryżu. Nie powinna była tak na to zareagować, a jednak coś zakłuło ją w sercu. W odpowiedzi natychmiast zadziałał mechanizm obronny. Nie zamierza zatrzymywać go nawet sekundę dłużej, skoro ma ważniejsze sprawy do załatwienia.

– Dziękuję, ale samochód nie na wiele mi się dzisiaj przyda. Chcę przejść się Champs-Elysees do Place de la Concorde, a potem może zajrzę do Luwru.

Paul podciągnął rękaw jej czerwonego swetra i stuknął palcem w cyferblat zegarka na przegubie.

– W takim razie uważnie pilnuj tego. Ktoś wyliczył, że jeśli zechcesz

poświęcić cztery sekundy na każde arcydzieło w Luwrze, obejrzenie wszystkich zabierze ci cztery miesiące, a tym razem nie masz tyle czasu. Czekam na ciebie pod hotelem punkt ósma. – Silna dłoń powędrowała do jej twarzy i odgarnęła za ucho kosmyk włosów. – Uważaj na siebie. – W następnej chwili szedł już długim, energicznym krokiem w kierunku niskiego, czerwonego, sportowego wozu, który stał zaparkowany jednym kołem na krawężniku.

Briona jak w transie zaczęła iść przed siebie. Jego palce ledwie ją musnęły, ale ciągle czuła na twarzy ich dotyk, lekki, niemal pieszczotliwy. Jak dotyk kochanka, podszeptęło serce, czemu rozum sprzeciwił się oburzony. Nie wiedziała, skąd czerpie to przeświadczenie, ale miała wrażenie, że dla niego to nie tylko przelotna znajomość.

Ale to przecież nieprawda. Zaproponował obiad, gdyż nie lubi jeść samotnie. Zaprosił ją na party, żeby mieć argument przeciwko próbom siostry, usiłującej skojarzyć go z jedną ze swych koleżanek. To jasne, że podczas ich króciutkiej znajomości jej amant ani myśli angażować się poważniej, ona zaś rozproszywszy wszystkie obawy wróci do Londynu i poślubi Matthew. Briona uprzyjemni Paulowi ostatnich kilka dni urlopu, on zaś umili jej ten szalony wypad do Paryża. Żadnych niebezpieczeństw.

Żadnych?

Chociaż Briona szła najszynniejszą ulicą Paryża, jednak niewiele do niej docierało. Zatrzymywała się przed kolejnymi wystawami, ale już po chwili nie potrafiłaby powiedzieć, co oglądała. Jej myśli bez reszty zajmowało zdumiewające zdarzenie.

Baśniowa godzina trwała nadal. Na próżno cichy głosik rozsądku przekonywał, że ten przystojny, fascynujący natręt wykorzystuje ją tylko do swoich celów. Nie była w nastroju, by wsłuchiwać się w rozsądne ostrzeżenia. Na mgnienie oka błysnęła możliwość oderwania się od rzeczywistości i chciała tę szansę wykorzystać. Może to i do niej niepodobne, ale czy musi być niewolniczką własnego statecznego obrazu?

Przecież już za chwilę prawdziwe życie zażąda znowu swoich praw...

Nagle jej uwagę przyciągnęła wystawa butiku z torebkami, ustawionymi na tle lustra. Popatrzyła uważnie na swoje odbicie, nie mogąc zrozumieć, co w niej przyciągnęło uwagę Paula. Dookoła roiło się wszak od szykownych i zalotnych kobiet. Ale nie podczas deszczu, znowu odezwał się samokrytyczny głos; wtedy konkurencja na ulicach jest znacznie mniejsza. Gdyby nie to, nawet by na nią nie spojrział. Tymczasem po chwili zobaczyła coś więcej, i to coś zaskakującego. Prawdę powiedziawszy, od bardzo dawna nie patrzyła już na siebie jako na obiekt męskiego zainteresowania. Choć z góry nastawiła się na widok istoty szarej i nieciekawej, wystarczył moment baczniejszej uwagi, by dostrzec, że coś się zmieniło. Ubranie nie wyszło może prosto spod igły ani też nie wyglądało jak z pierwszej strony żurnala, była jednak na tyle szczupła, by

nosić je z gracją i dostatecznie wysoka, by robić to z elegancją. A na dodatek z jej twarzy promieniowała jakaś tajemnicza siła. Oto bez wątpienia Briona Spenser – jakże jednak odmieniona!

Czy kiedykolwiek wyglądała tak przy Matthew? I czy kiedykolwiek jeszcze stanie się taka dla niego? Nie wiedziała, jak to będzie po powrocie do Anglii i do normalności. Nie wątpiła jednak, że cokolwiek stanie się tu, w Paryżu, i jakiegokolwiek nawiedzić ją mogły jeszcze wątpliwości, nic nie będzie miało trwałego wpływu na jej związek z Matthew.

Czuła, że wszystko nie jest takie proste. Odnosiła wrażenie, że poszczególne elementy układanki wcale tak gładko nie pasują do siebie, nie mogła się jednak zmusić do starannego i beznamiętnego przemyślenia całej sytuacji. Znajdowała smak w tym oderwaniu się na chwilę od rzeczywistości, a w końcu, czy nie to właśnie jest celem urlopu? Ta inna, bardziej zuchwała Briona, wolna od codziennych trosk, tak krótki miała mieć żywot, że doprawdy szkoda było zwałać na nią wszystkie przeszłe i przyszłe problemy.

I nagle zaczęła iść lekkim, niemal tanecznym krokiem, co było odzwierciedleniem stanu jej duszy. Powtarzała sobie, że to wpływ szampana, wiedziała jednak dobrze, że prawdziwą przyczyną jest Paul. Ale nie zamierzała już się tym trapić. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, porówna go z Matthew, a wtedy się okaże, jak wiele mu brak, by mógł być kimś więcej niż przelotnym znajomym.

A wtedy, kiedy ostatecznie zostaną usunięte wszystkie pytania i wątpliwości, powróci do Anglii i rzuci się w ramiona Matthew z takim samym poczuciem wyzwolenia i szczęścia jak poprzedniego lata. Od tej chwili mogła już przez czas jakiś nie myśleć o narzeczonym i tak się faktycznie stało.

Mając w tym niewątpliwie swój własny cel, Paul pomógł jej poddać uczucia krytycznej próbie. Mając w tym własny cel, Briona przystała na tę próbę. Teraz była już do niej gotowa. I chętna.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy Briona znalazła się na Place de la Concorde, zaczęło mżyć, ale trudno to było porównać do niedawnej ulewy. Naciągnęła płaszcz i rozejrzała się dookoła. Miała niezłą wyobraźnię, a przecież nie potrafiła wyobrazić sobie, jak dwieście lat temu, podczas rewolucji, głowy spadały do kosza z gilotyny ustawionej na środku placu. W żaden sposób nie mogła oderwać się od dnia dzisiejszego. I od Paula.

Spojrzała na zegarek. Do ósmej zostało jeszcze kilka godzin, postanowiła jednak darować sobie dzisiaj Luwr. Będzie potem zmęczona, a na dodatek tak niewiele spała od chwili otrzymania telegramu od Matthew.

Powrót do hotelu wydał jej się nagle bardziej pociągający od wędrowania po mieście. Odpocznie, pomyśli, w co się ubrać, potem poleży trochę w kąpielni. Za wannę trzeba było zapłacić dodatkowo, jako że w jej łazience był tylko prysznic, nie myślała jednak o swoim skąpym budżecie, pełna podniecenia i radosnego oczekiwania. Niedaleko widać było zejście na stację metra przy Concorde, a zorientowała się już, jak szybko i tanio podróżuje się po Paryżu pod ziemią.

Chociaż dwa razy musiała się przesiadać, bardzo szybko znalazła się przy Avenue de la Republique. Idąc ku wyjściu, minęła stoisko z tanią biżuterią.

W uszach miała małe złote kolczyki, które dostała od Matthew przed jego wyjazdem do Kalifornii, teraz jednak stanęła i zapatrzyła się na parę wielkich klipsów. Może one lepiej podkreślałyby jej nową, bardziej zawadiacką osobowość?

Cena nie była przesadnie wysoka i już po chwili bogatsza o niewielki pakunczek Briona zmierzała do hotelu, zastanawiając się, czy aby na pewno przed lustrem w jej pokoju klipsy okażą się równie wystrzałowe. Może zresztą wcale ich nie weźmie na party; wszystko zależeć będzie od nastroju i tego ostatniego, najbardziej krytycznego spojrzenia na swoje odbicie.

Za kontuarem w hotelowym holu było pusto; recepcjonista oglądał na zapleczu telewizję. Na dźwięk dzwonka zjawił się natychmiast, cały w uśmiechach i lansadach. Rozumiejąc średnio jedno słowo na dziesięć, Briona miała nadzieję, że jej uśmiech wystarczy za odpowiedź.

Wzięła klucz, wspięła się schodami na drugie piętro i z klatki schodowej skręciła na korytarz. Miała szczęście; mogła przecież dostać pokój na ostatnim, ósmym piętrze.

Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do dużego okna, które wychodziło na parking na tyłach fabryki. Fascynowały ją pojawiające się tam dzikie koty. Kiedy zjeżdżały się samochody, zwierzaki wypełzały nie wiadomo skąd, by na rozgrzanych maskach odsypiać nocne orgie. Dzisiaj jednak deszcz zapędził koty

pod samochody i nic nie było do oglądania.

Ziewnęła i pomyślała, że chyba tylko jakaś nadzwyczajna premia za nadgodziny mogła ściągnąć w niedzielę robotników do fabryki, a potem zastanowiła się przez chwilę, gdzie wypoczywają koty, kiedy na parkingu nie ma samochodów. Przy kolejnym ziewnięciu z całą wyrazistością poczuła, jaka jest zmęczona i zasunęła kotary.

Zerknęła na zegarek. W pół do czwartej, ma jeszcze mnóstwo czasu. Zdjęła sweter, pozbyła się butów i wyciągnęła się na wąskim łóżku, w błogim rozleniwieniu przypominając sobie wszystko, co powiedziała Paulowi, a bardziej jeszcze to, co on powiedział jej. Powieki opadły, po chwili zatrzepotały i ponownie powoli się przymknęły, pozostając w bezruchu do chwili, kiedy obudził ją wybuch śmiechu i trzaśnięcie drzwi gdzieś na korytarzu.

Przez chwilę leżała bez ruchu. Dzięki centralnemu ogrzewaniu w pokoju było tak ciepło i przytulnie, że z trudem wracała do rzeczywistości. Powoli wstała i poczłapała do okna, żeby przez otwarte okiennice wpuścić do pokoju trochę świeżego powietrza. Na parkingu nie było już ani samochodów, ani kotów. Robotnicy najwidoczniej skończyli nadprogramową pracę, a zwierzaki ruszyły na nocne eskapady. Gdzieś w pobliżu musiały się znajdować niezłe spiżarnie, gdyż wszystkie były błyszczące i dobrze odżywione.

Nocne eskapady!!! Briona, oparta o stojącą obok okna szafkę i leniwie otrząsająca się z resztek popołudniowej sjesty, nagle podskoczyła. O Boże, która godzina? Z przerażeniem spojrzała na zegarek i poczuła lekką ulgę. Ale tylko lekką. Paul zjawi się tutaj za dwie godziny, a ona zapomniała zamówić kąpiel. Pospiesznie narzuciła na siebie szlafrok, nogi wsunęła w pantofle, porwała kosmetyczkę oraz kilka flakoników z półeczki nad zlewem i zbiegła do recepcji. Miała szczęście: jedna z łazienek wyposażonych w wannę była wolna.

Namydliła włosy szamponem i jakiś czas leżała odprężona w pachnącej wodzie. Potem wskoczyła pod prysznic, spłukała pianę, żeby wreszcie, wypoczęta i rześka, wrócić biegiem do pokoju. Włączyła suszarkę, a kiedy włosy stały się znów puszyste i miękkie, zaczęła je szczotkować, odczuwając niekłamaną przyjemność w ich dotykaniu. Nic nie potrafiła poradzić na to, że z każdą chwilą czuła się coraz bardziej podniecona.

Wydawało się, że jakaś przezroczyista ściana odgrodziła ją od poczucia winy wobec Matthew. Och tak, wiedziała, że istnieje gdzieś tuż-tuż, pod ręką, ale do niej samej, do niej samej tego wieczora, nie miało dostępu. Zupełnie jakby sumienie uznało Paula za kogoś tak nie związanego z prawdziwym życiem, za postać tak wyśnioną, iż jej wiążące się z nim poczynania przestały podlegać ocenom moralnym.

Rozdwoiła się, a niefrasobliwość tej nierzeczywistej Briony zbyt była frapująca, żeby się przed nią bronić.

Dochodziła ósma, gdy rzuciła w lustro ostatnie, badawcze spojrzenie. I

znowu niemal nie poznała osoby, która spojrzała na nią ze zwierciadła, choć w pierwszej chwili trudno byłoby powiedzieć, na czym polegała jej niezwykłość. Czarna dżersejowa sukienka nie była bynajmniej ostatnim krzykiem mody. Dość długa i prosta, dopiero po podwiązaniu paskiem w biodrach uniosła się kilka cali ponad kostki. Rękawy sięgały odrobinę poza łokcie, a bardzo ostrożne wycięcie ukazywało tylko smukłą linię szyi i delikatnie zapowiadało kształtność ramion.

Także fryzura nie miała w sobie niczego rewolucyjnego: włosy gładko zebrane na skroniach, splecione z tyłu w węzeł, z którego swobodnie spływały na plecy. Różnica musiała płynąć z jej odmienionego wnętrza; a może zadecydowały klipsy? Najczęściej ubierała się tak, aby jak najmniej rzucać się w oczy; wyzywające w zestawieniu z prostotą ubioru i makijażu klipsy natychmiast przyciągały uwagę.

Z pewnym niedowierzaniem przyglądała się atrakcyjnej, kokieterijnej dziewczynie i poczuła nagły przestrah: czy potrafi się zachować odpowiednio do tego wyglądu? Za późno już jednak było na wątpliwości. Przez jedno ramię przewiesiła torbę, na drugie zarzuciła płaszcz od deszczu i ruszyła do drzwi.

Na schodach panował spory ruch. Była właśnie pora kolacji, którą goście spożywali w mieście, gdyż hotel gwarantował jedynie skromne kontynentalne śniadanie. Briona zaczęła zbiegać w pośpiechu, lawirując między innymi gośćmi. Nagle zwolniła na podeście półpiętra.

Pomyślała, jak idiotycznie będzie wyglądało, kiedy wpadnie jak bomba do holu i zacznie na próżno rozglądać się za Paulem. Opadły ją dawne rozterki, z ostatnich więc stopni zeszła z wystudiowanym spokojem, niedbale spoglądając dokoła. Ale niepewność nie trwała długo, bo oto Paul zerwał się właśnie z fotela i z promiennym uśmiechem na twarzy szedł w jej kierunku.

Uspokojona odpowiedziała uśmiechem. Paul miał na sobie luźny, kremowy sweter i brązowe spodnie. Wyglądał równie elegancko jak poprzednio w garniturze. Popatrzył na nią z uznaniem.

– Wyglądasz pięknie – powiedział po prostu, co wcale nie zabrzmiało jak zdawkowy komplement.

To były słowa i ton pełen naturalności, których Briona pragnęła gdzieś w głębi duszy, skromnie jednak odparła:

– Myślę, że to pewna przesada.

– Coś mi się wydaje, że gnębią cię różne podejrzliwe myśli – dodał, ujmując delikatnie jej ramię i prowadząc ku wyjściu – z którymi trzeba będzie jakoś sobie poradzić.

Był piękny wieczór, odrobinę chłodny, i właśnie zaczęła się zastanawiać, czy nie zarzucić płaszcza na ramiona, gdy zobaczyła zaparkowany naprzeciw wejścia do hotelu sportowy wóz siostry Paula. Raz jeszcze poczuła się trochę jak we śnie, dając się prowadzić do samochodu przez swego urodziwego towarzysza, i z lekkim westchnieniem znowu przystała na ten czarowny,

nierzeczywisty świat.

– Skąd to westchnienie? – zapytał Paul, włączając się w strumień pojazdów.

– Czuję się jakbym była inną osobą – wyznała. – To takie miłe, choćby miało trwać tylko chwilę.

– A co to u ciebie znaczy „chwila”? – Ale zadawszy to pytanie, Paul natychmiast dodał: – Nie, nic nie mów. Przyjemnych chwil nie należy mierzyć w godzinach ani dniach. W ten sposób wszystko można popsuć.

Ta uwaga tak dobrze pasowała do jej odczuć, że Briona przez moment nie wiedziała, co powiedzieć, zaskoczona tym nagłym porozumieniem między nimi. Wreszcie udało jej się rzucić z niedbałym uśmiechem:

– Na pewno jesteś dziennikarzem, a nie poetą? Zaśmiał się, a ona poczuła radość, że jej słowa nie wydały mu się sztywne czy zdawkowe.

– Z całą pewnością. Mam do czynienia jedynie z twardymi faktami. Marzenie i fantazje zostawiam innym.

Uśmiech raptem zgasł na twarzy dziewczyny.

– Czy powiedziałem coś złego? – zapytał Paul, mierząc ją badawczym spojrzeniem, kiedy zatrzymali się pod światłami na skrzyżowaniu.

– Nie, nie – skłamała, niezbyt dobrze wiedząc, dlaczego to robi. – Pomyślałam tylko, że nawet nie wiem, gdzie mieszka twoja siostra.

Najwyraźniej zaakceptował zmianę tematu rozmowy, kiedy bowiem ruszyli na zielonym świetle, odpowiedział:

– Na De St. Louis. Wyspę łączy wprawdzie z resztą Paryża pięć mostów, ale ciągle jest to jedna z najbardziej zacisznych części miasta.

Spróbowała sobie przypomnieć plan miasta, spoczywający teraz w torebce i zaryzykowała:

– To tam, gdzie jest katedra Notre Dame?

– Nie, mówisz o większej wyspie, Ile de la Cite. To z niej narodził się Paryż, ona też stanowi główną atrakcję turystyczną. Na Ile St. Louis, czy po prostu Wyspie, jak nazywają ją paryżanie, mniej jest do oglądania dla zwiedzających, gdyż tam się po prostu mieszka. To miejsce urodzenia mojej babki, a kiedy umarł dziadek, z którym przeniosła się do Anglii, powróciła na stare śmieci. Chantal jest bardzo do niej podobna; nigdzie nie czuje się tak dobrze jak w Paryżu.

– A ty? – zapytała Briona.

– Nie mam w sobie nic z domatora. Lubię życie na walizkach.

– A mnie trudno sobie wyobrazić, że ktoś może tak żyć z własnego wyboru. Moim marzeniem zawsze był spokojny, cichy dom rodzinny – powiedziała w zadumie.

– Pewnie dlatego, że nigdy go nie zaznałaś.

– Chyba tak – zgodziła się, a odegnana na chwilę rzeczywistość znowu

powróciła, uświadamiając jej, jak bardzo różni są oboje. – Jesteśmy jak woda i ogień, prawda? – zapytała z udaną niefrasobliwością.

– Jesteśmy jak Briona i Paul – odrzekł. – Wydaje mi się, że to bardziej obiecujące. – Zaśmiała się, na co mężczyzna natychmiast zareagował: – Tak jest o wiele lepiej. Lękałem się już, że jesteś wymęczona natłokiem paryskich wrażeń.

– Nie było ich wcale tak wiele. Dałam sobie spokój z Luwrem, wróciłam do hotelu i ni stąd, ni zowąd ucięłam drzemkę. To sprawiło, że przygotowywałam się do wyjścia w strasznym pośpiechu.

– Ja zawsze żyję w pośpiechu – powiedział w zamyśleniu Paul, kiedy przejeżdżali nad uśpioną rzeką po wysokim łuku mostu. – To lepsze niż siedzieć i czekać, aż coś się nareszcie wydarzy.

Tak, bez wątpienia są jak ogień i woda, pomyślała Briona. Na dobrą sprawę jedyną rzeczą, o której zupełnie sama zdecydowała, był właśnie ten wyjazd do Paryża. Wszystko inne w życiu bardziej jej się przydarzało, niż było świadomie zamierzone.

Paul wyrwał ją z zamyślenia.

– No i jesteśmy.

Rozejrzała się. Po jednej stronie uliczki, między drzewami połyskiwała Sekwana, po drugiej zaś ciągnęły się domy mieszkalne. Stanęli przed pięciopiętrowym budynkiem, zwieńczonym dachem z wysokimi mansardami. Przed oknami wybrzuszały się bogato rzeźbione balkony.

– Bardzo piękny i bardzo duży – powiedziała Briona z podziwem.

– To część starego, arystokratycznego Paryża, której nie dotknął specjalnie upływ czasu. Trzeba było trochę szczęścia, żeby nie znaleźć się na drodze nowo wytyczanych bulwarów i placów. W tym budynku jest kilkanaście apartamentów, nam jednak udało się zachować dwa górne piętra. Babce bardzo na tym zależało, twierdziła bowiem, że jest tu czym oddychać, nawet kiedy nastają upalne dni sierpniowe.

Podprowadził ją do wąskiego, łukowatego wejścia, otworzył drzwi, przepuścił w prog, a potem przez elegancki hol podeszli do windy, której szyb otoczony był metalową siatką.

– Czuję się jak słowik w klatce – powiedziała Briona, gdy Paul zatrzaskał drzwi i nacisnął guzik.

– Śpiewaj, jeśli tylko chcesz – zaśmiał się. – W takich starodawnych domach jest na ogół niezła akustyka.

Dziewczynie tymczasem nie było ani do śpiewu, ani do śmiechu. Winda zatrzymała się, a perspektywa wkroczenia między tłum obcych ludzi nagle znowu usztywniła Brionę i przywróciła dawne niepokoje. Zagryzła wargi i powiedziała niepewnie:

– Wyjdę na straszną dzikuskę, nie rozumiejąc, co ludzie do mnie mówią.

– Ale za to piękną dzikuskę – odparł Paul, spoglądając jej w oczy.
– Tobie dobrze się śmiać, a ja tam będę pasowała jak pięść do oka.
– Śliczna piąstka do ślicznego oka – szepnął, podniósł nagle jej dłoń do ust, ucałował po kolei każdy palec, a następnie wyprostował się i zrobił ruch, jakby chciał musnąć wargami jej oko. Briona cofnęła się jednak w popłochu. Nieoczekiwana pieśzczota sprawiła jej przyjemność, ale także przerażiła. Paul nie narzucił się i tylko spoglądał w jej oczy, w których zamigotały iskierki strachu.

– Słuchaj – odezwał się miękko – przywiozłem cię tutaj, żebyś się rozerwała, a nie żebyś dostała ataku nerwowego. Przecież pracując w hotelu, nieustannie musisz się spotykać z nieznajomymi.

– To co innego. W hotelu dobrze wiem, co mam robić. A tutaj będę stała sztywna jak kołek, zapominając języka w gębie, kiedy wszyscy dookoła są rozbawieni i dowcipni.

– Niepotrzebnie martwisz się na zapas – uspokajał ją Paul. – To bardzo kosmopolityczne towarzystwo. Będzie paru Anglików, a reszta przynajmniej zna angielski. W ogóle bym cię nie zaprosił, gdybym przypuszczał, że będziesz się źle czuła.

– Serdeczne dzięki, ale we mnie nie ma za grosz kosmopolityzmu. Jestem...

– Jesteś dziewczyną, z którą wybieram się na party – przerwał jej. – Coś ci to powinno dać do myślenia. – Nachylił się i tym razem bez sprzeciwów ze strony dziewczyny lekko pocałował ją w policzek. – Teraz już dobrze?

W jej duszy walczyły tak sprzeczne uczucia, że nie mogła wydobyć z siebie słowa. Jakaś część umysłu odnotowała pojawienie się uwodzicielskiej zalotności w zachowaniu Paula, zarazem jednak w dalszym ciągu miał ten cudowny dar, dzięki któremu powracały do niej spokój i poczucie bezpieczeństwa. Dobrze wiedziała, że powinna się przed nim strzec, a przecież nie potrafiła się na to zdobyć.

– Paul... – zaczęła niepewnie.

– Słucham?

Szare oczy spojrzały na nią z takim ciepłem i serdecznością, że wszystkie wątpliwości natychmiast pierzchły.

– Nie, nic. Już wszystko w porządku.

– Ot, i cała moja dziewczyna – powiedział z beztrąską, której tak mu zazdrościła. Podeszli do ciężkich dębowych drzwi z mosiężnymi klamkami i po chwili znaleźli się w pokoju pełnym ludzi.

Briona spodziewała się, że będzie miała czas na oswojenie się z nową sytuacją w holu, stanęła więc speszona. Ręka Paula, ciepła i mocna, objęła ją w pasie, ona zaś, pełna przede wszystkim wdzięczności, nie tylko nie opierała się, ale nawet przyłgnęła do niego. Obawy znowu gdzieś się rozplynęły.

Znaleźli się w obszernym salonie z niskimi edwardiańskimi sofami i gustownie dobranymi do nich krzesłami.

– Ale pięknie! – odruchowo wykrzyknęła Briona. – Zupełnie jakby się nic tu nie zmieniło od czasów twojej babki.

– Bo się nie zmieniło. Nie dlatego, że chcieliśmy uczynić z mieszkania coś na kształt muzeum: po prostu nie sposób było cokolwiek ulepszyć. Każdy szczegół tak jest dopasowany do reszty, że wszelka zmiana byłaby tylko na gorsze.

– Jestem tu pierwszy raz, a od razu odniosłam takie wrażenie – wyznała dziewczyna, myśląc zarazem, jakie to szczęście mieć takie oparcie w rodzinnej tradycji. Ona i Matthew będą musieli zaczynać od zera. Na początek mieli tylko siebie.

Zobaczyła, że od grupki stojącej w kącie odrywa się wysoka dziewczyna i zmierza im na spotkanie. Była urzekająco piękna, w czarnych obcisłych spodniach i kolorowej jedwabnej bluzce. Briona była pewna, że to siostra Paula: to samo spojrzenie szarych oczu, te same bujne włosy, ta sama prosta i pewna siebie postawa.

– Poznaj Chantal – powiedział Paul.

– A ty z pewnością jesteś Briona! – wykrzyknęła jego siostra i najzupełniej nieoczekiwanie klepnęła ją lekko w ramię i ucałowała w policzek. Zupełnie jakbyśmy były starymi przyjaciółkami – pomyślała spłoszona Briona – czy wręcz krewniaczkami. Chantal, podobnie jak Paul, dodawała jej odwagi; może to jakaś cecha rodzinna?

Czuła się zupełnie swobodnie, kiedy zaczęła poznawać kolejnych gości, zawsze bowiem u jej boku czuwało któreś z rodzeństwa. Nie trwało to długo, kiedy zorientowała się, że już od pewnego czasu uczestniczy w swobodnej i luźnej grze opowieści, aluzji i dowcipów, ani przez chwilę nie nękana przez pułapki językowe.

Czuła się wspaniale i była naprawdę szczęśliwa, że znalazła się na party. Oczy jej pełne były migotliwych błysków, na policzkach pojawił się rumieniec, a usta niemal bez przerwy układały się do śmiechu, jakiego dawno już nie pamiętała. W pewnym momencie Paul nachylił się do jej ucha i szepnął:

– No cóż, wcale nie jak z brzydkim kaczątkiem, co, Briono?

– Kwak, kwak – rzuciła w odpowiedzi.

Paul odchylił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

– Pączuszek rozkwita coraz bardziej – powiedział i nagle czule przygarnął ją do siebie.

Briona uwolniła się z uścisku jeszcze bardziej spłoniona i natychmiast dojrzała wpatrzona w nią badawczo oczy Chantal, która z leciutkim uśmiechem natychmiast odwróciła się i zaczęła rozmawiać z mężczyzną stojącym tuż obok.

Paula odciągnięto do jakiejś kolejnej rozdowcipkowanej grupki, Briona

jednak pozostała na swoim miejscu. Nie potrzebowała już, by dodawał jej otuchy; sama dawała sobie radę zupełnie dobrze i chciała to smakować, jak dziecko dumne z nowo nabytej umiejętności.

Gdzieś w głębi duszy podejrzewała, że wszystko to robi w istocie bardziej dla Paula niż dla siebie, pragnąc, by był z niej dumny, ale nie miała zamiaru rozpatrywać teraz starannie wszystkich odcieni swoich uczuć. A przecież, mimo poczucia pewności siebie i radości z niego, przez cały czas dobrze wiedziała, gdzie w danej chwili znajduje się jej paryski opiekun i jakaś część w niej bardzo pragnęła jego bliskości. Dobrze wiedziała, że prędzej czy później on znajdzie się przy niej i czuła, jak nieustannie sący się w niej słodko-gorzkie oczekiwanie.

Ktoś nastawił nastrojową muzykę, do której wtóru natychmiast to tu, to tam zaczęły się kołysać wtulone w siebie pary. Rozmowy gasły, ustępując pierwszeństwa muzycznej tańca. Każda komórka ciała Briony pełna teraz była tęsknoty; wiedziała, że w każdej chwili Paul może znaleźć się tuż przy niej, z drugiej jednak strony za nic nie chciała spojrzeć w jego stronę.

Poczuła lekki dotyk na ramieniu, odwróciła się radośnie, ale ku swemu rozczarowaniu zobaczyła przed sobą Chantal.

– Przygotuję jakieś przekąski – powiedziała. – Może byś mi pomogła? Nie miałyśmy jeszcze w ogóle okazji porozmawiać.

– Z przyjemnością – odparła Briona, niepewna dlaczego wybór padł właśnie na nią, ale już w następnej sekundzie przypomniała sobie niedawne badawcze spojrzenia. Za prośbą pięknej modelki kryło się coś jeszcze.

Ruszyła jej śladem, a kiedy lawirowała pomiędzy pływającymi parami, nagle poczuła, jak ręka Paula chwyta ją w pasie.

– Posłuchaj – powiedział, kiwając brodą w kierunku głośników. – Sinatra, „Strangers in the Night”. To nasz taniec, obcych w nocnym mieście.

Chantal spojrzała przez ramię.

– Daj jej spokój, Paul – wtrąciła żartobliwie – bo będziesz musiał umrzeć z głodu!

– Jedzenie może poczekać, taniec nigdy. – Pokręcił głową i objął Brionę. Zanim Chantal zdążyła zaprotestować, także przed nią skłonił się partner i po chwili łagodnie odpływała już w przeciwny róg pokoju.

– No i po kłopotach – mruknął Paul, mocniej przyciskając do siebie dziewczynę, gdyż właśnie w tej chwili trąciła ich inna para. – Zgodzisz się, że to nasza melodia?

– Tak – szepnęła Briona. Czołem lekko dotykała ramienia tancerza, chociaż dobrze wiedziała, że nie powinni ani mieć swojej melodii, ani tańczyć w ten sposób. Czym innym jednak była wiedza, a czym innym uczucia i ciągle najłatwiej i najprościej było poddawać się nastrojowi chwili.

Przy drzwiach zrobił się ruch, gdyż pojawili się następni uczestnicy

zabawy, witani wesołymi okrzykami i pozdrowieniami. Briona jednak nawet nie otworzyła oczu, błogo zatopiona w opiekuńczym uścisku Paula. Chciała, by piosenka nigdy się nie skończyła, a kiedy mimo wszystko dobiegła końca, dziewczynie zebrało się na płacz.

Paul pociągnął ją w kierunku magnetofonu i cofnął taśmę, a potem zatańczyli znowu, samotni w nocy, samotni w mieście, straceni dla świata. A przynajmniej Briona tak to czuła. Gdy muzyka zamilkła po raz wtóry, Paul odsunął partnerkę na całą długość ramion i powiedział poważnie, bez śladu uśmiechu w oczach:

– Briono, albo zaraz, w tej chwili, pomaszerujesz do kuchni, albo taniec poniesie nas do łóżka.

Nie musiała pytać, co ma na myśli. Okręciła się na pięcie i odeszła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W kuchni nie było nikogo, czym Briona zupełnie się nie zmartwiła, gdyż bardzo chciała побыć teraz przez kilka chwil w samotności. Czowała się zawstydzona, że tak przytulała się do Paula w tańcu, a jednocześnie wspomnienie tego dotyku było niesłychanie żywe i... fascynujące. Z obawą zauważyła, że coraz bardziej podoba jej się igranie z ogniem.

To nie była, oczywiście, ona. To jakaś inna istota, która nieustannie brała nad nią górę, ilekroć Paul znalazł się w pobliżu. Briona należąca do Matthew wstydziała się podniecenia, którego doznawała Briona Paula. Zasadniczy problem polegał na tym, że nie było całkowicie jasne, która Briona jest tą prawdziwą.

Rozejrzała się wokół w nadziei, że jakaś zewnętrzna wskazówka pomoże jej w rozwiązaniu zagadki. Ale cóż, była to tylko kuchnia, stanowiąca udane połączenie tradycji z nowoczesnością. Duże, wbudowane w ściany szafki wyglądały na pradawne, podobnie jak stojący na środku wielki stół, ale kuchenka elektryczna, kuchenka mikrofalowa, lodówka, zamrażarka, zmywarka do naczyń były jak najbardziej nowe.

Nie było tu niczego z jej własnej osoby i dlatego odpowiedzi na dręczące ją pytania musiała poszukać głęboko w sobie samej, a teraz już zaczynała się bardzo obawiać tego, co może tam znaleźć. Gdyby zdradziła Matthew, zdradziłaby także samą siebie, a z drugiej strony, gdyby zerwała teraz z Paulem, wspomnienie tej chwili dręczyłoby ją już aż do końca życia. I czy naprawdę także i to nie byłoby zdradą samej siebie?

– Cholera – szepnęła. – Cholera, cholera, cholera! Od drzwi dobiegły ją ironiczne słowa:

– Zdaje się, że jesteśmy w bardzo podobnym nastroju. Oparta niedbale o jedną z szafek Briona poderwała się, jak złapana na gorącym uczynku i spojrzała na mówiącą, którą okazała się kobieta starsza od niej o dobre kilka lat. Nie była tak skończoną pięknnością jak Chantal, ale w jej zachowaniu wyczuwało się coś intrygującego.

Błyszczące włosy luźno spływały po policzkach, a z tyłu zebrane były w wysoki kok. Ostry makijaż podkreślał bladość twarzy i szafirowy błękit oczu. Róż na wargach miał ten sam odcień co świetnie skrojone, wąskie, jedwabne spodnie, które zaśniły, gdy nieznamoma wkroczyła do kuchni.

Kobieta zmierzyła ją od stóp do głów spojrzeniem pełnym lekceważenia i Briona poczuła się jak Kopciuszek w łachmanach, Kopciuszek jednak poirytowany i przekorny. Impertynentka musiała być jedną z nowo przybyłych osób, gdyż wcześniej Briona z pewnością by jej nie przeoczyła.

– Sheena Patterson – przedstawiła się nieznamoma.

– Briona Spenser. – Nie doszło do wymiany uścisków dłoni, gdyż tamta najwyraźniej nie miała po temu ochoty. Od pierwszej chwili Briona wiedziała, że ma naprzeciwko siebie wroga, co potwierdziły już pierwsze słowa.

– Więc to ty jesteś najnowsza zabaweczką Paula. Byłam pewna, że musi chodzić o coś takiego, skoro nie zaproszono mnie na party. Jestem pewna, że poczułaś się w siódmym niebie, kiedy poprosił cię do tańca. Okropny błąd, malutka. Paul to wieczny myśliwy; mało go interesują zdobyte już trofea. Ja tego błędu nigdy nie popełniłam i dlatego zawsze w końcu do mnie wraca.

Podniosła trzymany w ręku kieliszek i spojrzała wyzywająco nad jego brzegiem. Wolno pociągnęła łyk, a potem dodała:

– Chciałam cię tylko ostrzec, kochanie. Możesz to nazwać życzliwością. W końcu obie jesteśmy kobietami.

Briona nigdy dotąd nie zetknęła się z taką przeciwniczką i nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Przyjęła najłatwiejszą, choć w tym przypadku najmniej słuszną postawę obronną.

– Pani nic nie rozumie. Ja jestem już zaręczona z kimś innym – wyjaśniła.

– Aach! – Sheena pokiwała głową. – W takim razie jesteś dla Paula niesłychanie ponętym kąskiem. Wiedziałam, że musi tu być jakaś pikantna przyprawa, bo generalnie nie jesteś w jego typie. Teraz rozumiem, dlaczego mnie nie zaprosił; bał się, że go wyśmieję.

Briona poczuła, że się czerwieni.

– Coś pani się pokręciło. To przyjęcie Chantal, a nie Paula – odpowiedziała zaczepnie.

Brwi Sheeny uniosły się w wystudiowanym zdziwieniu.

– Ach tak, Chantal wyprawia przyjęcie tuż przed wyjazdem na bardzo ważny pokaz? Jeśli w to uwierzysz, uwierzysz w każdą inną bzdurę! Sama z siebie nigdy nie zaryzykowałyby sińców pod oczyma. To oczywiście pomysł Paula, który zastawił już sidła i czeka, a Chantal tylko mu pomaga. On ma naprawdę prawdziwy talent, jeśli chodzi o owijanie sobie kobiet wokół palca.

– Naturalnie, z wyjątkiem pani – cierpko zauważyła Briona.

– Z wyjątkiem mnie – chętnie zgodziła się Sheena. – Mam na niego sposób i dlatego zawsze ostatecznie wraca do mnie. Wydaje mi się, że gdyby spojrzenia mogły zabijać, byłabym już trupem. – Uśmiechnęła się i zaczęła cofać się ku drzwiom.

– Możesz mnie, kochanie, nienawidzić, ale ja tylko próbuję cię oświecić. Jeśli mnie posłuchasz, będziesz mi kiedyś wdzięczna. Jeśli nie chcesz słuchać, twoja sprawa. Na dłuższą metę to bez znaczenia, jeśli chodzi o Paula i mnie.

Briona zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć, Sheena uśmiechnęła się więc promiennie i zwróciła do wchodzącej właśnie Chantal:

– To bardzo nieładnie nie zawiadomić mnie o przyjęciu, a przecież powinnaś się domyślić, że plotka i tak do mnie dotrze.

Nie czekając na odpowiedź, intrygantka zniknęła w salonie. Chantal patrzyła przez dłuższą chwilę na spłonioną twarz Briony.

– Sheena pokazała pazurki, prawda? Przepraszam. Chciałam cię wcześniej ostrzec przed nią, ale zabrakło okazji. Mieli się kiedyś z Paulem ku sobie i teraz uważa go za swoją własność.

– Z pewnością nie jest on moją własnością – odpowiedziała Briona, ciągle wzburzona starciem, które przed chwilą się rozegrało.

– Jesteś pewna? – zapytała Chantal. – Wiem, że dopiero co poznaliście się, ale czasami wystarczy kilka chwil.

Znowu patrzyła badawczo w szare oczy, tak podobne do oczu Paula. Briona odwróciła wzrok.

– Z pewnością powiedział ci także, że jestem zaręczona – mruknęła.

– Wszyscy popełniamy jakieś błędy.

Nie była to kwestia, o której Briona chciałaby rozmawiać. Tak wiele innych rzeczy czekało na wyjaśnienie.

– Słuchaj, Chantal, z tego, co mówił Paul, zrozumiałam, że party było już wcześniej zaplanowane. Mam rację?

– Nie. Przypuszczał, że bez tej okazji nie będziesz chciała więcej się z nim zobaczyć.

– Zatem i opowieść o tym, że mam posłużyć jako pretekst, by nie musiał zabawiać jednej z twoich przyjaciółek, była kłamstwem. Sheena miała rację; chodziło tylko o zastawienie pułapki. Oczywiście, być może powinnam potraktować to jako komplement, że zadał sobie tyle trudu, ale jakoś nie potrafię. Zaufałam mu. Sheena twierdzi, że interesuje się mną tylko z tej przyczyny, że jestem już związana z kimś innym. To obrzydliwe. I, mówiąc szczerze, obrzydliwe jest także pomaganie mu w tym polowaniu.

– No tak, Sheena nieźle się spisała – mruknęła Chantal. – Naprawdę nie czujesz jadu w tym, co ona mówi?

– Nie wiem, nie znam się na toksynach. Ale wiem, co to znaczy oszustwo. I nie musiałaś w tym pomagać.

– No dobrze, pomogłam – westchnęła z rezygnacją Chantal. – Kiedy zaczął mi opowiadać o tobie, było to coś zupełnie nowego. Zabij mnie, nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale od razu wiedziałam, że jesteś dla niego kimś zupełnie wyjątkowym. Gdybym rzeczywiście pomyślała, że chodzi tylko o jakąś nową panienkę, smacznie bym teraz spała, żeby jutro wyglądać szalowo.

Popatrzyła na zaszepioną twarz Briony i machnęła w kierunku stołu.

– Sam to wszystko załatwił. Powyciągał skądś te wszystkie kanapki i dania, co w niedzielę naprawdę nie jest łatwe. Ja smacznie sobie odpoczywałam, a on przez całe popołudnie siedział przy telefonie i spraszał gości. Nigdy dotąd nie zrobił tak wiele dla jakiegokolwiek dziewczyny. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie musiał. No i jak byś się zachowała w tej sytuacji jako jego siostra?

Briona milczała przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała:

– Wydałabym przyjęcie. Uśmiech rozjaśnił twarz Chantal.

– Naprawdę cię lubię! – wykrzyknęła z zapalem. – Strasznie się bałam, ale kiedy zobaczyłam was oboje razem, natychmiast wiedziałam, iż wszystko będzie dobrze.

– Trudno, żeby było gorzej – zaprotestowała Briona. – Przecież jestem zaręczona. Z każdą chwilą sytuacja staje się coraz gorsza!

– Kochanie, współczuję ci. Chyba wiem, co czujesz – powiedziała Chantal i raz jeszcze ucałowała Brionę w policzek. – Sama znalazłam się już kilka razy w takich opałach i mogę ci tylko poradzić, żebyś zastanowiła się, co jest naprawdę ważne dla ciebie.

– Bardzo bym chciała wiedzieć – szepnęła Briona.

– Musisz rozstrzygnąć, czy to, co istnieje między tobą a Paulem, to tylko chwilowy błysk. Ale zanim tego nie ustalisz, nie wolno ci wychodzić za mąż za kogokolwiek!

W jej ustach wszystko nagle stało się takie proste, zupełnie jak w ustach Paula. A Briona potrafiła powiedzieć tylko:

– Kocham mojego narzeczonego.

– Wiesz, z różnych przyczyn można lubić jakiegoś mężczyznę, ale to wcale jeszcze nie znaczy, że się go naprawdę kocha.

Chantal najwyraźniej chciała, by Briona przemyślała sobie te słowa, gdyż naciągnęła rękawice i podchodząc do piekarnika, powiedziała:

– Jeśli natychmiast nie weźmiemy się do ziemniaków w mundurkach, zwęglą się na amen. Mogłabyś w tym czasie poustawiać na stoliku całą resztę? Wiesz, ser, kukurydzę, sałatki i krewetki.

Briona zabrała się za rozpakowywanie dodatków, a kiedy rozstawiała je na ruchomym stoliku, zapytała:

– Czy chcesz mi w ten sposób powiedzieć, że nudzę cię już swoimi problemami?

Z twarzą rozplamioną od piecyka Chantal rzuciła jej krótkie spojrzenie.

– Nie. Usiłuję tylko być uczciwa. Chcę ci powiedzieć, że jedynie ty możesz rozstrzygnąć, czy warto dalej ciągnąć tę sprawę między tobą i Paulem.

– A to takie oczywiste, że... jest jakaś sprawa? – zapytała Briona, przygryzając wargę.

– Bardzo – odrzekła Chantal, a napełniwszy jedną salaterkę pieczonymi kartoflami, sięgnęła po następną.

– A jak rozumiesz swoją uczciwość w tym układzie?

– Chyba nie mogę być tu naprawdę uczciwa. Nie znam twojego narzeczonego i dlatego mało mnie on obchodzi. Bardzo troszczę się o Paula, zawsze więc będę brać jego stronę. Jesteśmy sobie bardzo bliscy od czasu, gdy...

no, ale mniejsza z tym.

– Nie, nie, żadnego „mniejsza z tym” – sprzeciwiła się ze śmiechem Briona. – Nie ma nic gorszego, niż znać pół prawdy.

– No dobrze. Od czasu, gdy David zginął w Libanie dwa lata temu jako wysłannik agencji. Był naszym starszym bratem. Razem z nim został zabity Toby, fotograf, mój narzeczonny.

Na twarzy Briona nie został już nawet ślad uśmiechu.

– Och, przepraszam. Nie chciałam tak włączyć z butami...

– Daj spokój – obruszyła się Chantal. – Wcale nie musiałam tego mówić. Chciałam jednak, żebyś zrozumiała, że niewiele jest rzeczy, których potrafiłabym odmówić Paulowi. Śmierć Davida była straszliwym wstrząsem dla całej rodziny. Ale śmierć Toby’ego... – Głos Chantal załamał się, a po chwili ciągnęła bardzo cicho: – Nie potrafiłam sobie dać z tym rady. Kochałam Toby’ego tak bardzo, że nie wyobrażałam sobie życia bez niego. Zupełnie się załamałam i tylko dzięki Paulowi udało mi się jakoś wyjść na prostą. Zrobił to, czego nie potrafili zrobić rodzice, kiedy przeżywałam kolejne dołki. Odstawił alkohol, środki uspokajające i nakłonił mnie do pracy. Dzięki niemu rozumiałam, że prawdziwą tragedią byłoby, gdybym w ogóle nie spotkała Toby’ego. To była zbawcza myśl, której się uczepliłam.

Briona słuchała w milczeniu, ciągle nie potrafiąc połączyć radosnej Chantal z obrazem takiej tragedii.

– Nigdy już nie spotkam drugiego Toby’ego – ciągnęła siostra Paula – ale upłynęło dostatecznie wiele czasu, bym zaczęła mieć nadzieję, że spotkam jednak jakiegoś mężczyznę, o którego będę mogła się troszczyć. Jeśli nie, to i tak wiem, co to znaczy, być naprawdę szczęśliwą, a nie wszystkim udało się tego doświadczyć.

– A ja myślałam, że jesteś taka beztraska – powiedziała w zamyśleniu Briona.

– Każdy ma jakieś ukryte blizny – wzruszyła ramieniem Chantal. – Udało mi się stanąć na nogach, gdyż Toby zawsze żył pełnią życia i chciałby, żebym i ja dalej taka była. To kolejna rzecz, której nauczył mnie Paul.

– To także jego sposób życia, wiedziałam od razu – westchnęła Briona, z lekką zawiścią w głosie. – Ja chcę się tylko przeczołgać przez życie, to wszystko.

– Nie, nie wszystko, zobaczysz, Paul cię przekona. Briona potrząsnęła głową.

– Przecież nie mogę zapominać o Matthew, moim narzeczonym.

– Z tego, co wiem – odezwała się Chantal z jakimś dziwnym smutkiem w głosie – macie razem z Paulem kilka dni, żeby nad wszystkim pomyśleć. Powiem tylko tyle: nie zmarnujcie tego czasu. Te chwile mogą się już nigdy nie powtórzyć.

– Zapominasz – bąknęła Briona z lekkim rumieńcem na twarzy – że on mnie po prostu poderwał na ulicy.

– Wcale nie. Właśnie to wydaje mi się ważne. Sądzę, że powinniście pobyć teraz ze sobą przez tych kilka dni. Paul zwykle tak nie postępuje, to nie w jego stylu. Zdaje się, że także i nie w twoim. Cokolwiek by o tym powiedzieć, jesteście jakoś ważni dla siebie. Ale raz jeszcze powtórzę: ja myślę przede wszystkim o tym, żeby on był szczęśliwy. O siebie sama już musisz się zatroszczyć.

– Serdeczne dzięki, to tak miło spotkać przyjazną duszę – powiedziała ozięble Briona, co jednak wcale nie zraziło Chantal.

– I spotkałaś! Myślę, że wszystko pomiędzy tobą i Paulem ułoży się znakomicie.

Na tym rozmowa się urwała, gdyż w kuchni pojawił się jej bohater. Na sam widok Paula serce Briony zabiło tak gwałtownie, że zabrakło jej tchu w piersiach. Gdzieś w tle pojawiła się myśl, że jeśli i ona wywiera na nim podobne wrażenie, to nikt by tego nie odgadł. Paul popatrzył najpierw na jedną, później na drugą, a potem powiedział ze swoją zwykłą niefrasobliwością:

– Ach, dziewczynskie pogawędki. Kogo to teraz obrabiacie?

– Ciebie – oznajmiła Chantal z figlarnym błyskiem w oczach. – Usiłowałam właśnie nakłonić Brionę, żeby poszła na całość, dopóki jeszcze ma szansę.

Paul podszedł do Briony, ujął jej dłoń i ucałował każdy palec oddzielnie.

– Zrobisz tak? – zapytał z naciskiem. – Bo wtedy ja też się nie cofnę.

Serce Briony wyczyniało nieprawdopodobne harce, ale, przez całe życie skrywając swe uczucia, nie potrafiła się nagle odsłonić, tak jak Chantal i Paul. Nie mogła wykrztusić ani słowa. Chantal prawdopodobnie zauważyła to, gdyż zaraz zwróciła się do brata:

– Słuchaj, Paul, jeśli będziesz przeszkadzał w kuchennych pracach, to nikt nie dostanie nic do jedzenia. A właściwie może być z ciebie pewien pożytek. Rusz no się z tym stolikiem, obejdz gości, a jak będzie mało, wróc po dokładkę.

– Tylko jeśli Briona będzie mi towarzyszyć – targował się Paul.

– Następnym razem – obiecała Chantal, popychając stolik w kierunku brata.

– Sługa i podnózek – mruknął zawiedziony, puszczając rękę Briony i posłusznie wwożąc smakołyki do salonu.

Kiedy zniknął, Briona spodziewała się, że Chantal jakoś skomentuje karesy brata, ale modelka nie odezwała się ani słowem. Być może tak już do nich przywykła, że nawet nie zauważyła, pomyślała dziewczyna. Jeśli to prawda, ma kolejny dowód, że powinna się mieć na baczności. A jednak... a jednak ciągle zerknęła, kiedy znowu się pojawi w kuchennych drzwiach. Czuła się niezbyt pewnie, kiedy nie było go w pobliżu, zupełnie jakby stanowił jakąś

jej brakującą część.

„Pójść na całość”, przypomniała sobie słowa Chantal. Ładna mi całość; najlepsze, co mogła zrobić, to uciec: na obce ulice obcego miasta. Znalazła się przecież w potrzasku: wariującego serca, podniecenia, któremu nie potrafiła się przeciwstawić. Zupełnie jakby była pod wpływem narkotyku! Przydałaby się jakaś odtrutka, która wyzwoliłaby ją spod tego przedziwnego uroku!

Może taką odtrutką byłyby chwila rozmowy z Sheeną, ale Briona wiedziała dobrze, że Chantal, wierna orędowniczka brata, nie dopuści do takiej pogawędki. No cóż, pomyślała, na razie rezygnując ze skompletowania wszystkich fragmentów układanki, przynajmniej tyle mogę powiedzieć, że zostałam ostrzeżona.

Z jednej z szafek Chantal wyciągnęła kilka salatek, wysypując na nie chipsy i biskwity.

– Jeśli komuś będzie jeszcze mało – powiedziała do Briony – może sobie sam poszukać czegoś w spiżarni czy lodówce. Ja kończę już z kuchnią; ostatecznie przecież to moje party.

– Ale właściwie zostałam do niego zmuszona. Ciągle mam straszne przeczucie, że jutro rano będziesz przeklinała mnie i Paula.

– Nie ma obaw, zdążę się wypać – żywo odpowiedziała Chantal. – Paul uprzedzał każdego, że to bal Kopciuszka.

Zdziwiona Briona znieruchomiała z paczką orzeszków w ręku.

– Jak to, bal Kopciuszka?

– Wszyscy wychodzą o północy.

– Powinam się była domyślić! – Rozbawiony śmiech Briony natychmiast ucichł, kiedy w drzwiach stanął Paul. Przestało jej brakować ważnej części siebie; znowu wszystko było w porządku, a ona – pełna życia i cudownego oczekiwania. Na co? Mniejsza z tym, najważniejsze, że Paul był tuż przy niej...

Po raz kolejny powróciła myśl, czy kiedykolwiek czuła się tak w towarzystwie Matthew. Tak intensywnego doznania nie zapomniaby jeszcze po latach, a teraz nie widzieli się raptem przez kilka miesięcy. I dlatego z tym większą pewnością mogła stwierdzić, iż Matthew dawał jej poczucie zewnętrznego oparcia, ale nigdy nie przeniknął w głąb niej samej, tak by wydawał się częścią jej osoby.

Ale uprzytomnienie sobie tego faktu nie uchroniło jej przed bolesnym poczuciem winy. Bezwiednie zmarszczyła brwi w wyrazie zgryzoty, który nie uszedł uwagi Paula. Zrobił ruch, jakby chciał podejść do Briony, ale rozmyślił się i zwrócił do Chantal.

– Wracaj do gości – powiedział, obejmując ją w tali i delikatnie popychając w kierunku wyjścia. – Nie chcę, żebyś rozpowiadała potem na prawo i lewo, że całe przyjęcie spędziłaś przy garach.

– Zwariowałaś? – obruszyła się Chantal, lekko opierając się bratu, ale w tym samym momencie zobaczyła w jego oczach coś, co sprawiło, że natychmiast się poprawiła: – Właściwie masz rację, właśnie mówiłam Brionie, że przecież to moje przyjęcie. – Po tych słowach zniknęła w salonie.

Paul stanął tak blisko Briony, że nawet z zamkniętymi oczyma czuła wyraźnie jego obecność. Znowu oddech sprawiał jej trudność, przy czym dobrze wiedziała, że teraz winne jest podniecenie, które ogarnęło ją nagłym płomieniem. Mężczyzna delikatnie ujął jej brodę, podniósł do góry i koniuszkami palców zaczął masować czoło. Pod tymi leciutkimi, kojącymi dotknięciami Briona gotowa była pomrukiwać jak kotka wygrzewająca się na słońcu.

– Jest jednym z praw tego domu, że nie wolno tutaj marszczyć brwi – powiedział pełnym troskliwości głosem, który był równie uwodzicielski jak dotyk.

Dziewczyna otworzyła oczy i usiłowała się uśmiechnąć, co nieoczekiwanie okazało się trudne. Nigdy jeszcze dotąd nie czuła się tak szczęśliwa i smutna zarazem. Nie wiedziała, skąd to przedziwne połączenie, chociaż nie... wiedziała. Przecież dobrze już rozumiała, dlaczego przebywanie w towarzystwie Paula staje się powodem na przemian euforii i przygnębienia. Nie miała jego daru sięgania śmiało po to, czego pragnęła. Ją nieustannie dręczyły wyrzuty sumienia, których tak chciałyby się pozbyć!

Och, Paul, pomyślała, jakiegokolwiek masz zamiary wobec mnie, proszę cię, przestań!

Ku jej zawstydzeniu jednak, był to bezgłośny okrzyk i nawet w niej samej rozbrzmiał bez przekonania. Paul oto na nowo oblekał ją w ciało i jakkolwiek by się buntowała, fascynujące było doznanie potęgi, z jaką ciało potrafi pragnąć. Potęgi, której nawet nie przeczuwała...

– Ciągłe marszczysz brwi – odezwał się Paul z delikatnym wyrzutem w głosie. – To sprawia mi przykrość, tak chciałbym żebyś była pogodna.

Briona zapatrzyła się w szare oczy i uwierzyła tym słowom. Jego troska bez trudu przedarła się przez wszystkie zasieki obronne dokładnie w chwili, kiedy dziewczynie najbardziej były one potrzebne. Starła się jeszcze zakpić z siebie i z niego, z trudem zdobywszy się na żart:

– Prawa tego domu. Założę się, że wymyślasz je na poczekaniu, w zależności od sytuacji.

– Jak każdy – odparł z leciutkim uśmiechem.

– Ja nie – sprzeciwiła się, a kiedy uznała, że wypowiedziała to mało przekonującym głosem, powtórzyła z naciskiem: – Ja nie zmieniam zasad jak rękawiczki.

– Dajmy już spokój temu gadulstwu – powiedział wolno Paul i wpatrzony w jej oczy, nagłym ruchem przyciągnął ją do siebie. Zanim zdążyła się

zorientować, co się dzieje, jego wargi przywarły namiętnie do jej ust

ROZDZIAŁ PIĄTY

Briona ani uczuciowo, ani fizycznie nie potrafiła się przeciwstawić natarczywości Paula, a jednak w owym poddaniu się nie było żadnej błogości. Rozpalił już jej wyobraźnię, teraz rozpalał ciało. Wiedziała jednak, że czegokolwiek od niego pragnie, to z pewnością nie tego pocałunku.

Za wcześnie. Zbyt jeszcze była niepewna siebie i jego. Tak, ogarnęła ją namiętność, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyła, i po tym względem podobna była do Paula, niemniej ciągle w jakimś zakamarku duszy trwało niezdecydowanie i rezerwa. Chyba to poczuł, gdyż teraz do warg dołączył się natarczywy język. Briona chciała cofnąć twarz i usta, ale teraz nie wystarczyła już sama jej chęć: musiała walczyć.

Gdyby rzeczywiście pragnęła zwyciężyć, Paul najpewniej szybko uznałby się za pokonanego, musiał jednak poczuć, że oporowi brak pasji i zawziętości. Jego lewa dłoń poszukała piersi, a gdy znalazła, Briona poddała się. Miała wrażenie, że cały świat skurczył się do kulek piersi i tej wytrawnej, pieczotliwej dłoni. Sutki naprężyły się, a całe ciało wygięło się, pragnąc w ten sposób ulżyć bolesnemu wręcz pożądaniu.

– Briona – szepnął Paul między jednym pocałunkiem a drugim. – Moja kochana Briona.

– Paul – westchnęła, po raz ostatni wsłuchując się jeszcze w głos rozsądku. – Paul, proszę, nie...

– A w każdym razie nie w kuchni. Łatwo możecie wylądować w zlewie – usłyszeli rozbawiony głos, który Briona zdążyła już znienawidzić.

Cała spaşowiała, usiłowała odepchnąć Paula od siebie, ten jednak trzymał ją w stalowym uścisku. Nawet nie przyszło jej na myśl, że mężczyzna stara się w ten sposób zasłonić ją swoimi plecami i jeszcze przez kilka chwil podejmowała daremne wysiłki, a kiedy wreszcie znieruchomiała w jego uścisku, Paul lekko odwrócił głowę i rzucił gniewnie przez ramię:

– Sheena, daj mi wreszcie święty spokój i idź, gdzie cię oczy poniosą.

– Nie mogę, kochanie, bo już jutro, co najwyżej pojutrze zatęsknisz za mną, gdy tylko znudzi ci się ta kolejna awanturka – odpowiedziała zupełnie nie stropiona.

– Paul, puść mnie, proszę – szepnęła zaszokowana Briona, ale Sheena dosłyszała nawet ten cichy szept.

– Ach, daj mu tylko to, czego pragnie, a puści nie tylko ciebie, ale i całą sprawę w niepamięć – mruknęła i ostentacyjnie ziewnęła.

– Jeśli uważasz, że to jest zabawne... – zaczął podniesionym głosem Paul, ale kobieta przerwała mu.

– Tak, kochanie, istotnie myślę, że to dosyć komiczne. Ale dalej

ośmieszaj się już na własny rachunek. Zostaję jeszcze w Paryżu przez kilka dni. Wiesz, gdzie mnie znaleźć, jeśli tego zapragniesz, a zapragniesz na pewno, tyle że to młodziutkie niewiniątko jeszcze tego nie wie, prawda?

Pokiwała im ręką i zniknęła, pozostawiając po sobie woń perfum i smak perfidii. I jedno, i drugie podziałało na Brionę przygnębiająco. Odsunęła Paula i powiedziała:

– Na mnie też już czas.

– Briona! – wykrzyknął, łapiąc ją za ramię. – Kochanie, musisz mnie posłuchać...

– Nie jestem żadnym twoim „kochaniem” – odparła z gniewem, który zajął miejsce poczucia upokorzenia. Obnażyła swe uczucia, a w chwili, kiedy była zupełnie bezbronna, zjawiała się Sheena z obrzydliwymi drwinami. Pragnęła teraz jedynie zaszyć się w jakiejś kryjówce i zaleczyć rany.

– Jesteś. Kocham cię – stanowczo oświadczył Paul.

– Pewnie. Podobnie, zdaje się, jak i całą resztę świata. Paul opuścił ręce i cofnął się o krok.

– Zostaw szyderstwa Sheenie. To nie w twoim stylu.

– Nic nie wiesz o moim stylu, ale ja dostatecznie już dużo zdążyłam dowiedzieć się o twoim. – Briona wyraźnie usłyszała w swym głosie histerię. Nie znosiła tego. Nigdy nie mówiła takim tonem, nigdy też dotąd tak się nie czuła: zupełnie jakby wszystkie rozedrgane nerwy znalazły się na wierzchu. Za wszelką cenę starała się opanować. Dokończyła już nieco spokojniej: – Mam nadzieję, że pamiętasz jeszcze swoje przyrzeczenie, że kiedy tylko będę chciała, odwieziesz mnie do hotelu?

– Pamiętam, ale nie pozwolę ci odejść w tym momencie. Briona przyjrzała mu się czujnie. Był silny, rozgniewany i z pewnością bez trudu potrafiłby narzucić swoją wolę. Przebiegł ją dreszcz rozkosznej trwogi, lecz natychmiast się zawstydzila. Już w sekundę później pomyślała, że przecież w przylegającym pokoju jest dostatecznie wiele osób, by nie musiała się czegokolwiek obawiać. Chociażby nawet jakaś jej część miała być tym rozczarowana.

– Nie ty o tym decydujesz – odparła chłodno. – Chcę wracać do siebie. Dobranoc, Paul.

– Zaczynasz się wygłupiać.

– O nie! – zareagowała gniewnie. – Dopiero w tej chwili przestaję się wygłupiać.

Chciała oddalić się ze spokojem i gracją, jak Sheena, nie była jednak w stanie pohamować irytacji. Gwałtownie skierowała się do salonu. W drzwiach nagle przystanąła, napotkawszy wpatrzona w nią oczy gości. Z głośników sączyła się cicha muzyka i wszyscy zasiedli do przekąski. Ze spojrzeń skierowanych na kuchnię nietrudno było zgadnąć, że sprzeczką wzbudziła

powszechnie zainteresowanie.

O Boże, pomyślała, chciałabym się zapaść pod ziemię. Mimo wszystko tym razem nie straciła rezonu. Może i było jej obce wyrafinowanie Deverillów i ich przyjaciół, potrafiła się jednak znaleźć. Podeszła do Chantal z wyciągniętą ręką i powiedziała uprzejmie:

– Dziękuję za zaproszenie. Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawiła na Bahamach.

Chantal przytrzymała jej dłoń.

– Zostań jeszcze chwilę. Przynajmniej zjedz coś przed wyjściem.

Nad ramieniem Briony spoglądała w kierunku Paula, bezgłośnie domagając się od niego jakiegoś gestu lub słowa. Briona niemal fizycznie poczuła jego obecność za plecami.

– Straszny raptus z tej mojej Briony, prawda? – usłyszała z tyłu na pół kpiące słowa.

Moja Briona! Cóż za bezczelność! I to miało być dowcipne? O, Sheena bez wątplenia miała rację: Paul tworzył z nią dobraną parę. Chociaż Matthew nie potrafił wywołać w Brionie uczuć tak silnych, to przecież nigdy nie sprawił, by czuła się równie upokorzona. I, chwalić Boga, nie kpił z niej.

Nigdy dotąd nie pragnęła nikogo skrzywdzić, ale w tej chwili gotowa była z premedytacją zamordować Paula. Musiał to dostrzec w jej oczach, bo gdy obróciła się, żeby spiorunować go wzrokiem, powiedział z lekkim uśmiechem:

– Paczuszek coraz bardziej rozkwita.

Briona zeszywniała, wyrwała rękę z uścisku Chantal i pospieszyła do wyjścia, kiedy jednak znalazła się na korytarzu, zobaczyła, że Paul już tam jest, trzymając otwarte drzwi do windy. Dziewczyna weszła dumnie wyprostowana, ukosem rzucając spojrzenie, które miało osadzić w miejscu natręta.

Paul jednak, nieczuły na takie napomnienia, także wszedł do kabiny. Briona cofnęła się w sam róg, świadoma, że nie może zrobić niczego innego, nie wikłając się w beznadziejną szarpaninę.

Znowu czuła się przytłoczona jego obecnością. Jediną obronę znajdowała w głuchym milczeniu. Trudno powiedzieć, żeby była to broń skuteczna w odniesieniu do Paula.

– Potrafisz więc także się dąsać – odezwał się głosem tak swobodnym, jak gdyby kontynuował rozmowę przerwana przed chwilą. – Mam nadzieję, że wyjaśnisz mi, co takiego okropnego zrobiłem.

Briona nie zaszczyciła go odpowiedzią.

– Zgoda, nie potrafiłem się powstrzymać od pocałowania cię, ale i ty nie pozostałaś całkiem obojętna.

Tego było już za wiele. Jak śmiał tak lekko mówić o czymś, o czym Brionie trudno było nawet myśleć? Nigdy jeszcze nikogo nie spoliczkowała, teraz jednak dłoń uniosła się sama i z rozmachem klasnęła o twarz Paula.

Mężczyzna w ogóle nie starał się uniknąć ciosu. Wprost przeciwnie, przyjął go z takim stoicyzmem, iż Briona zaczęła podejrzewać, że została rozmyślnie sprowokowana.

Przypuszczenie to potwierdzać mógł niezmacony spokój, z jakim ciągnął dalej:

– Dobrze, że przynajmniej to mamy już za sobą. Jeśli teraz poczułaś się lepiej, może byśmy porozmawiali, a wydaje mi się, że obydwójgu nam jest to potrzebne.

Zimna krew Paula bynajmniej nie udzieliła się Brionie; przeciwnie, czuła się jeszcze bardziej rozwścieczona. Winda stanęła, ale on nawet nie drgnął. Dziewczyna skoczyła ku wyjściu. Choć pragnęła zachować pełne godności milczenie, nie wytrzymała i przyciskając się do ściany, tak by nawet nie musnąć natręta, prychnęła:

– A ja ci zaufałam!

– Nie ufałaś mi nawet przez chwilę – usłyszała za sobą rozdrażniony głos Paula, najwyraźniej podążającego za nią na ulicę. – W przeciwnym wypadku Sheenie nigdy by się nie udało popsuć niczego między nami.

– A co tu niby było do popsucia? Z drugiej strony, jak możesz w ogóle mówić coś o zaufaniu, skoro okłamywałeś mnie od pierwszej chwili.

– Zgoda, było trochę nieprawdy w tym, co mówiłem, ale to tylko dlatego, że chciałem cię raz jeszcze zobaczyć. Czy to coś zmieni w twoim stosunku do mnie, jeśli obiecuję, że od tej chwili będę mówił prawdę i tylko prawdę?

Głos Paula zabrzmiał bardzo poważnie; Briona zwolniła kroku, zatrzymała się i obróciła. Poczowała się niemal pokonana. Był taki uroczy, miał tak skupioną twarz i tak przyjemnie byłoby skapitulować. Zapatrzona w jego oczy, prawie już zapomniała, o co im poszło. Wszystko poza tym miejscem i tą chwilą wydawało się nieistotne.

Resztkami woli udało jej się spojrzeć w bok. Stali zupełnie sami na nabrzeżu. Po obu stronach rzeki rzędami ciągnęły się latarnie, rzucając w wodę magicznie połyskujące światelka. Nagle przebiegł ją dreszcz. Wybiegając w pośpiechu, zapomniała o płaszczu. Właściwie powinnam zgubić pantofelek, pomyślała drwiąco, przypominając sobie, że, jak powiedziała Chantal, miał to być bal Kopciuszka.

– Czy to coś zmieni? – nalegał Paul. Nadspodziewanie szybko gniew Briony zaczął gasnąć, a wraz z nim także chęć oporu. Poczowała się słaba, bezbronna i bliska łez.

– Tak – wykrztusiła i z trudem przełknęła ślinę. – Ale musisz mi także obiecać, Paul, że dasz mi spokój.

– To jest jedyna rzecz, jakiej nie mogę ci przyrzec, a kiedy troszeczkę oprzytomniejesz, sama to zrozumiesz. – Otworzył drzwiczki samochodu i rzucił: – Wsiadaj. Cała trzęsiesz się z zimna.

Briona, bezradna jak dziecko, z trudem usiłowała wydobyć z siebie głos. Było tak wiele rzeczy, które chciała powiedzieć i które powinna powiedzieć, a tymczasem nie mogła wykrztusić ani słowa. Wsiadła potulnie do samochodu, nie znajdując już w sobie siły na kolejną scenę. Jeśli Paul chciał zawieźć ją do siebie do domu, nic już nie wpłynie na jego decyzję. Łamał każdy sprzeciw i każdy opór, podczas gdy ona bliska była wybuchnięcia płaczem i – czego najbardziej się obawiała – poszukania opieki w jego ramionach.

Paul jechał w kierunku hotelu. Nocne ulice były niemal zupełnie opustoszałe. Zerknął na dziewczynę, która uparcie odwracała twarz i powiedział z rozdrażnieniem:

– W porządku, wiem, że nie masz w tej mierze wielkich doświadczeń, ale czy naprawdę tak trudno się zorientować, że Sheena to rasowa dziwka?

Briona nieoczekiwanie dla siebie samej ożywiła się.

– Używa języka równie wyszukanego jak ty, ciebie zaś uważa za rasowego dziwkarza. Na moje wyczucie, obydwójce macie rację i obydwójce jesteście siebie warci.

Na chwilę zapadło milczenie, a potem Paul roześmiał się w głos.

– Och, dziewczyno, i jak tu się w tobie nie zadurzyć? – zapytał z czułością. – Kiedy twój pączek rozkwita, każdy płatek okazuje się inny. Nigdy nie wiem, co powiesz za chwilę. Powinnaś mnie pożałować za to, że jesteś tak zniewalająca, a nie pomstować i pohukiwać.

– Ach, proszę bardzo! – wykrzyknęła z oburzeniem. – Użalić się nad tobą! I co jeszcze? Chciałeś mnie po prostu wykorzystać i nic więcej.

– No, no, widzę, że zdążyłaś już poznać mnie jak swoich pięć palców – mruknął z przekąsem.

W odpowiedzi Briona burknęła pod nosem jakieś nie bardzo parlamentarne wyrażenie. Paul zachichotał.

– Hej, hej, hej! Pan Matthew musi sobie poszukać nowej dziewczyny, bo ty jesteś już nieodwołalnie moja.

– Przestań! – krzyknęła. – Przestań już wreszcie! Dla mnie to wcale nie jest śmieszne. Jeśli chcesz, uznaj, że zrobiliśmy dzisiaj eksperyment, który nie wyszedł, i na tym koniec.

– Mówisz bzdury, kochanie.

Kochanie!!! Przez króciutki moment Briona poczuła, jak zdrajczyni w niej samej pragnie, żeby to było prawdą, ale już w następnej sekundzie zatriumfował zdrowy rozsądek.

– Jeśli mówisz zupełnie szczerze, jesteś skończonym draniem i zupełnie nie wiesz, co to przyzwoitość.

– Zgoda, łądak ze mnie – przytaknął Paul. – I właśnie dlatego jesteś mi potrzebna, ktoś musi mnie obronić przede mną samym. Jaka kobieta odmówi pomocnej ręki w takiej sytuacji?

– Spróbuj z Sheeną – zaproponowała Briona.
– Spróbowałem, ale nic z tego – odparł hardo Paul. – Posłuchaj, opowiem ci, jak to było z Sheeną...

– Bardzo dziękuję, ale nic mnie to nie obchodzi.

– W porządku – głos mężczyzny stracił zaczepność i znowu stał się poważny – mówmy o tym, co cię obchodzi. Przyjechałaś do Paryża, żeby zastanowić się nad tym, kim rzeczywiście jesteś, a ja stanowią już w tej chwili część tego problemu.

– Nie! – powiedziała porywczo.

– Właśnie, że tak – nie ustępował Paul. – Ze strachu przed niewiadomym rozpaczliwie usiłujesz być dziewczyną, jaką byłaś dawniej, dziewczyną Matthew. Ale tamtej już nie ma i nigdy nie będzie. Musisz żyć dalej, cieszyć się i naprawdę kochać. A to wymaga odrobiny ryzyka. W głębi duszy dobrze o tym wiesz i dlatego jesteś taka wściekła na mnie. Sheena i Matthew w ogóle się nie liczą, chodzi tylko o nas.

Przerwał, spojrzał na nią, a kiedy nie zareagowała, mówił dalej:

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałem ci, że to dopiero początek. Teraz ciągle jesteśmy w drodze i jeśli będziemy mieli szczęście, koniec nigdy nie nastąpi. Takie uczucie zdarza się raz na całe życie; tego jestem pewien, uwierz mi!

Briona była kompletnie oszołomiona. Słowa Paula brzmiały tak przekonująco, a przecież ona wiedziała coś, czego nie wiedział tamten: nie mogła porzucić Matthew. Czowała to bardzo wyraźnie, nawet jeśli nie potrafiłaby wytłumaczyć. Razem z Matthew przez tak wiele rzeczy przeszli już wspólnie, podczas gdy ona i Paul...

– Chodzi także o moje życie – kontynuował z pasją Paul – a w takich sprawach łatwo nie kapituluję.

Siedziała ze spuszczoną głową i dopiero kiedy Paul zahamował przed wejściem, spostrzegła, że zajechali pod hotel. Nachylił się nad nią i końcami palców delikatnie dotknął policzka.

– Moje biedactwo – powiedział miękko. – Wiem, że to za dużo na jeden raz dla ciebie, ale powoli zaczniesz mi ufać. Przyjadę po ciebie o dziesiątej i będziemy mogli spokojnie porozmawiać o wszystkim, o czym dzisiaj nie sposób już mówić. Lepiej, żebyś teraz poszła, bo znowu zacznę cię całować, a tego samego błędu staram się nie popełniać dwa razy tego samego wieczoru.

Bez słowa pożegnania Briona raz jeszcze uciekła od Paula i przed Paulem.

Noc nie rozwiązała żadnego z problemów i podczas śniadania, na które złożyła się kawa i rogalik, z bolesnym ociąganiem musiała przyznać sama przed sobą, że jedynym ratunkiem dla niej jest ucieczka. Oczywiście, to nieładnie wystawiać kogoś do wiatru, ale przecież wcale się nie zgodziła na spotkanie z

Paulem. Trzeba było tylko odrobinę zdecydowania.

Ostatecznie musiała stoczyć ze sobą zażartą walkę, niemniej o dziewiątej, na godzinę przed zjawieniem się Paula, chyłkiem, jak uciekiniarka, zbiegła po schodach i oddała klucz w recepcji.

Zdecydowanym krokiem pospieszyła ku drzwiom, kiedy z jednego z głębokich foteli w holu uniósł się wysoki, przystojny mężczyzna.

– Paul – wyszeptała i nieświadomie dotknęła pobladłego policzka.

– A spodziewałaś się jeszcze kogoś? – zapytał z uśmiechem, którego miała nadzieję już więcej nie zobaczyć.

– Powiedziałaś, o dziesiątej – rzuciła Oskarżycielskim tonem.

– To prawda, ale oboje już wiemy, jaki jestem niesłowny. – Palce musnęły jej policzek w pieszczocie, która dziś w nocy nawiedzała ją we śnie i zmuszała do daremnego przygarniania poduszki. – Dobrze spałaś, kochana?

– Paul, prosiłam cię przecież! Nie jestem twoją ukochaną.

– Och, jesteś, ale dobrze, wyrównajmy krok. Nie będzie to łatwe, gdyż mamy już przed sobą tylko pięć dni, a nie można zmarnować nawet minuty. – Wziął ją za rękę i wyprowadził na ulicę. Po wczorajszym deszczu nie było już nawet śladu. Zatrzymali się w słońcu i spojrzeli na siebie.

– Gdyby pogoda się nie zmieniła, myślałem o wieży Eiffla i przejażdżce po Sekwanie.

– Nie, nie – sprzeciwiła się niepewnie Briona. – Nie powinniśmy...

Ulice były już zatłoczone. Nie dbając o przechodniów, Paul ujął w dłonie twarz dziewczyny, a kiedy w jej oczach dojrzał smutek, rysy jego twarzy zmiękły i złagodniały.

– Dzisiaj będziemy po prostu turystami. Nie ma przecież w tym nic złego. A poza tym musisz pójść ze mną, żeby odzyskać płaszcz. Mam go w samochodzie. Briona ciągle się wahała.

– Turystyka i nic więcej? – Odpowiednio wcześniej chciała uprzedzić wszystkie możliwe nieporozumienia.

– Tak – zapewnił z grobową miną. – A gdybym przypadkiem się zapomniał, zawsze możesz raz jeszcze dać mi w gębę.

Był niemożliwy; nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu, a gdy wsiadała do samochodu, wiedziała, że znowu znalazła się we władzy jego magicznej siły, która czyniła ją nieodpowiedzialną i lekkomyślną.

Paul, jak to Paul, dowcipkował przez cały czas. Nie wypuścił jej ręki, kiedy znaleźli się w windzie, która miała ich powieźć na szczyt wieży Eiffla.

– Turyści tak się nie zachowują – upomniała go.

– Zgoda, nie chcę tylko, żebyś się bała. Jedziemy pod samo niebo.

– Nie mam lęku wysokości.

– Poczekaj, jeszcze nie jesteśmy na górze. Poza tym, trzymanie się za rękę to tylko przyjacielski gest. Co innego, gdybym zaczął całować twoją dłoń,

tak jak teraz. Nie potrząśnij głową. Chodziło mi jedynie o to, abyś wiedziała, na czym polega różnica.

Och tak, dobrze wiedziała, że jest bezczelny, ale zupełnie nie potrafiła trzymać go na dystans. Na szczycie podeszli do barierki, aby spojrzeć na rozpościerające się pod nimi miasto, ale jeśli kręciło jej się w głowie, to z pewnością nie tylko i nie przede wszystkim z racji wysokości.

Paul bez przerwy wprawdzie mówił o Paryżu i wskazywał wszystkie znane budowle, ale robił to z obojętnością zawodowego przewodnika, na dobrą sprawę przez cały czas wpatrzony w twarz dziewczyny. I także ona najchętniej spoglądała tylko na niego. Uścisk dłoni był czymś więcej niż tylko dotykiem, a kiedy znowu ucałował jej palce, nie protestowała, gdyż dobrze wiedziała, co chce jej w ten sposób przekazać.

Nie posunął się jednak dalej i z nowym zapalem podjął rolę pilota. Była mu naprawdę wdzięczna za tę wyrozumiałość.

Na dole panował letni wręcz upał, z którego na szczycie wieży nie zdawali sobie sprawy. Trzymając się za ręce, szli między pięknymi, krótko przystrzyżonymi trawnikami i rozkoszowali się lodami. Briona popatrzyła na purpurowe i żółte klomby.

– Uwielbiam bratki – powiedziała. – W domu rosną w skrzynce pod moimi oknami.

– Nie masz ogródka?

– Skądże – odparła z ożywieniem. – Mieszkam w hotelu z jeszcze jedną recepcjonistką, a okna naszego pokoju wychodzą na śmietnik. Ale kiedyś będę miała ogródek, nie taki starannie ufryzowany, ale tradycyjnie angielski; z mnóstwem malw i innych niemodnych dzisiaj kwiatów będzie przywabiał motyle i pszczoły, – Nie boisz się pszczoł? – zapytał Paul.

– Nie – potrząsnęła głową Briona. – Lubię ich słuchać, są takie szczęśliwe. Zapracowane, ale zadowolone z siebie. W dzieciństwie spędziłam kiedyś kilka tygodni u pary, która miała taki ogród. Nie trwało to długo, ale było naprawdę piękne.

Nie zdawała sobie sprawy z żalu, który zabrzmiał w jej głosie, ale Paul go nie przeoczył. Ucisnął mocniej jej rękę.

– Świetnie porozumiałabyś się z moją matką – szybko wtrącił. – Ona ma właśnie taki dziki ogród i nigdy nie używa pestycydów. Powiada, że lepiej rzeczy pozostawić swojemu biegowi: niech dobre robaczki pożrą złe robaczki.

– To ładne, podoba mi się – powiedziała Briona.

– Chciałabyś może poznać moją matkę?

Dziewczyna przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. W końcu bąknęła:

– A co, przyjeżdża do Paryża?

– Nie, ale przecież możemy polecieć do Anglii.

– O, Boże, nie! – wykrzyknęła. – Przecież zaraz pomyślałaby sobie, że jesteśmy ze sobą.

– A nie jesteśmy?

Paul natychmiast zrozumiał, że się zagalopował i próbował osłabić powagę poprzednich słów.

– Jasne, że nie mogę ci obiecać motyli i pszczoł na początku marca, ale z całą pewnością coś będzie kwitło. Do Dorset, gdzie mieszkają moi rodzice, wiosna przychodzi wcześniej. Moglibyśmy tam wpaść na dzień albo dwa.

Brionie ogromnie podobał się ten pomysł, ale z namysłem potrząsnęła głową, obawiając się konsekwencji. Paul nie nastawał i zaraz zmienił temat rozmowy, a Briona ponownie poczuła przypływ wdzięczności. Może jednak to wcale nie wyrozumiałość, a jedynie spryt myśliwego?

Natychmiast Odegnęła podejrzliwą myśl, wiedząc, że to chwast posiany przez perfidię Sheeny. A poza tym podejrzenie takie zupełnie kłóciło się z innymi odczuciami. Chciał ją zaprosić do domu rodziców, co było jednym z najpiękniejszych komplementów. Tak nie zachowuje się kolekcjoner, jakiego Sheena chciała uczynić z Paula.

Nie sposób jednak było wykluczyć, że w jej towarzyszku mieszkały dwie osoby, podobnie jak w niej od czasu pierwszego spotkania, tyle że u niego był to trwały stan. Zaniepokojona tą nieprzyjemną myślą Briona z uwagą spojrzała na Paula. Uśmiechnął się i wszystkie troski pierzchły. Przecież byli tylko turystami. Nikim więcej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Później odwiedzili grób Napoleona, ale choć monument zrobił na Brionie wielkie wrażenie, na pytanie Paula, czy chce teraz obejrzeć muzeum wojskowe, zdecydowanie odpowiedziała:

– O nie, dość już mam na dzisiaj militarnej chwały. Teraz z chęcią napiłabym się czegoś mocniejszego.

– No, no – zachichotał Paul. – Powiedziałbym, że czytasz na odległość w moim sercu, gdyby nie to, że już je skradłaś.

Wykrzywiła się, przekonana, że z niej podkpiwa, ale uszczęśliwiona napotkała spojrzenie pełne ciepła i czułości. Miał ten cudowny talent, dzięki któremu czuła, że jest dla niego kimś szczególnym, jedynym, nawet jeśli rozsądek mówił inaczej.

Obiad zjedli w restauracji stylizowanej na mesę okrętową; zamówili zupełną rybą i pieczonego łososa. Pomimo sprzeciwów Briony, Paul kazał również podać szampana. Przypominając sobie wczorajsze popołudnie, dziewczyna wyznała:

– Obawiam się, że po szampanie zaraz zachce mi się spać.

– Zlituj się nade mną – mruknął Paul. – Mam bardzo żywą wyobraźnię.

Zerknęła na niego nad kieliszkiem.

– Nie przepuścisz żadnej okazji, co?

– Błagam cię, nie poddawaj się zbyt szybko. Naprawdę chcę się nawrócić na drogę cnoty, ale bez twojej pomocy na pewno mi się to nie uda.

Wybuchnęła śmiechem równie perlistym, jak bąbelki szampana odrywające się od dna kieliszka. Był taki zabawny, tyle że nie należało go brać zbyt poważnie, ale przed tym starannie się broniła. A w każdym razie tak jej się wydawało do chwili, gdy niespodziewanie dla samej siebie rzuciła mimochodem:

– A kim dla ciebie jest Sheena?

– Miałem nadzieję, że w końcu o to zapytasz.

Briona najchętniej cofnęłaby swoje słowa, teraz jednak trzeba już było brnąć dalej i miała tylko nadzieję, że jej pytanie zabrzmiało wystarczająco zdawkowo.

Dłoń Paula popęzła po stole i przykryła rękę dziewczyny.

– Bo ona zupełnie niepotrzebnie stała się barierą między nami.

Briona z najwyższym trudem powstrzymała naturalny odruch uściśnięcia jego palców.

– Cóż to za bariera w porównaniu z Matthew. Spytałam z czystej ciekawości.

Cofnął rękę. Czy wiedział, że dotyk trwał dostatecznie długo, by zaczęła

tracić kontrolę nad sobą? Ach, jak bardzo pragnęła czuć dalej jego palce. Na miłość boską, cóż się z nią działo? Przecież nie może tak nieprzytomnie reagować na każde dotknięcie!

Paul tymczasem siedział przez jakiś czas zamyślony. W pewnym momencie powiedział:

– Wczoraj rozmawialiście z Chantal. Opowiedziała ci, zdaje się, o śmierci naszego brata.

– Także o Tobym. To takie straszne. Przytaknął lekko i ciągnął dalej:

– Nic ci jednak nie mogła powiedzieć o konsekwencjach, jakie to miało dla mnie. Ojciec postanowił odejść całkowicie na emeryturę, a David miał być jego następcą. Kiedy zginął, zostałem tylko ja, ale w tej chwili nie jestem po prostu w stanie zmusić się do pracy biurowej. Moja rodzina jest pewna, że wszystko się zmieni, kiedy znajdę sobie żonę i się ustakuję. Ich zdaniem Sheena znakomicie nadaje się do tej roli.

– Rozumiem – mruknęła Briona, a w sercu poczuła nieoczekiwany ból. Paul i Sheena: dwoje pewnych siebie ludzi z wielkiego świata. Znakomita para!

– Nic nie rozumiesz – zachnął się mężczyzna. – Sheena potrafi być fascynująca, to prawda. Przez lata chodziliśmy ze sobą, ale nigdy nie traktowaliśmy tego bardzo poważnie. Ja nigdy nie myślałem serio o poślubieniu jej, także i ona nie traktowała mnie jak swego przyszłego męża, przynajmniej do chwili, kiedy śmierć Davida uczyniła ze mnie następcę tronu w agencji. To bardzo ambitna kobieta.

– Co w tym złego? – spytała Briona, a ból w sercu nieco złagodniał.

– Och, potrafi odgrywać przeróżne role i wejść w skórę dowolnej osoby, ale nigdy nie będzie kobietą, z którą chciałbym spędzić resztę życia. To bardziej niż pewne.

Briona słuchała z lekkim zdziwieniem, dobrze bowiem pamiętała, jak Sheena przedstawiła się jako kobieta najbliższa Paulowi. Pamiętała też inne szczegóły i nie bardzo potrafiła sklecić z nich jakąś całość. Tyle kwestii trzeba było zapamiętać w związku z Pauliem, a przecież знаła go dopiero od dwudziestu czterech godzin. To tylko poeci twierdzą, że od jednego wejrzenia można dowiedzieć się o kimś wszystkiego, co najważniejsze. W rzeczywistości nigdy tak nie bywa. Co jednak w Paulu było rzeczywiste, co zaś zmyślone?

– A czym ona się zajmuje? – Briona zapragnęła teraz dowiedzieć się czegoś więcej o kobiecie, którą sam Paul nazwał fascynującą.

– Jest niezależną reporterką, zresztą bardzo dobrą. Dostarcza materiałów międzynarodowym agencjom informacyjnym, między innymi także i nam.

– Nietrudno zrozumieć, dlaczego twoi rodzice uważają, że pasujecie do siebie – zauważyła Briona i pomyślała, że ktoś, kto w perspektywie ma co najwyżej stanowisko zarządzającej niewielkim hotelem, najwyraźniej należy do innej ligi.

– Ani myślę zawierać małżeństwo ze względu na interesy – obruszył się Paul. – Jeśli uznam, że potrzebna jest agencji, wynajmę ją, a nie poślubię. Do diabła z agencją: za żonę wezmę dziewczynę, bez której nie będę mógł wyobrazić sobie życia.

Serce zatrzepotało w piersi Briony. Jakież to cudowne być tak kochaną! Paul wszędzie szedł na całość; nie zadowalał się połowicznością. I czyżby ona naprawdę coś znaczyła dla takiego właśnie mężczyzny?

– A ty wyszłabyś za kogoś nie z miłości? – zapytał.

– Nie.

– Tego właśnie byłem pewien! – wykrzyknął Paul, klasnął dłonią o udo i uśmiechnął się do Briony tak radośnie, iż poczuła, jak na policzki wypełza jej rumieniec.

Znała teraz dwie wersje związku między Sheeną i Paulem i sama musiała rozstrzygnąć, która jest prawdziwa. Czy to Sheena jest perfidna, czy też Paul stara się ją omamić? Mogła się oprzeć jedynie na swoim instynkcie, a jakże mu zawierzyć, gdy pod każdym dotknięciem Paula miękła jak wosk?

– Briono, przyrzeknij mi, że jeśli poślubisz kogoś, to tylko z miłości.

– Przecież już powiedziałam.

– Ale to nie była obietnica.

– Och – odparła z niedbałym uśmiechem – to mogę przyrzec każdemu.

– Ja nie jestem każdym. Daj słowo właśnie mnie. Była zdumiona jego nieustępliwością.

– Przyrzekam – usłyszała samą siebie i dobrze wiedziała, że to przysięga.

Paul wyraźnie się uspokoił.

– Dziękuję. To mi na razie wystarczy.

Briona, żeby rozładować sytuację, zmieniła temat.

– Jeśli twój ojciec naprawdę chce już odejść na emeryturę, to chyba jest niezadowolony, że nie palisz się do przejęcia jego funkcji.

– Trochę zmienił zdanie po śmierci Davida. Praca często okazuje się najlepszym lekarstwem na zgryzoty.

– Tak było z Chantal – zauważyła półgłosem Briona.

– Z nami wszystkimi. Nikt na mnie nie wywiera żadnego nacisku, ale dobrze wiem, że będą uszczęśliwieni, kiedy się nareszcie ustatkują. – Paul podniósł kieliszek z szampanem.

– Teraz czuję zresztą, że i ja będę szczęśliwy.

Kolejny raz Briona nie wiedziała, jak zareagować. Jego sugestia była bardzo klarowna; pochyliła nisko głowę, bojąc się, że zdradzi ją rumieniec.

Paul przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, a potem, chcąc wybawić ją z zakłopotania, rzeki:

– Zupełnie zapomniałem, że przecież dzisiaj mamy być turystami i nikim więcej. Co teraz chciałabyś obejrzeć?

– Posłuchaj, przecież dla ciebie to musi być strasznie nudne odwiedzać ze mną miejsca, w których byłeś już setki razy. Naprawdę nie musisz...

– Z tobą się nie nudzę – przerwał jej bezceremonialnie – a co więcej, dobrze wiem, że nigdy nie będę się nudził. Dlaczego ciągle ci się wydaje, że przebywanie z tobą to dla mnie straszna męczarnia? Poznałem już kilka kobiet i wiem, co mówię: jesteś wyjątkowa.

Policzki tak jej spaśnowiały, że w żaden sposób nie potrafiłaby tego ukryć.

– Nie mów takich rzeczy, bardzo cię proszę.

– Dobrze, skoro tego żadasz, ale niełatwo będzie mi dotrzymać tej obietnicy, ponieważ zobowiązałem się także do mówienia prawdy. Więc cóż, korzystając z pogody, przepłyniemy się po Sekwanie?

Briona z radością przystała na tę propozycję; kiedy dotarli na przystań nieopodal wieży Eiffla, stateczek właśnie miał odbijać. Weseli i rozdokazywani wbiegli na podkład.

– Jaka szkoda, że wszystkie miejsca z przodu są już zajęte – powiedziała dziewczyna, kiedy zajmowali miejsca na środku.

– Poczekaj – odparł spokojnie. Ledwie odbili od nabrzeża, szklany dach rozsunał się, a wszyscy pasażerowie zaczęli z dziobu przenosić się na środek, aby wygrzewać się w promieniach słońca.

– Widać, że nie płyniesz po raz pierwszy – zauważyła Briona, a w jej duszy zaraz pojawiło się pytanie: „Z Sheeną?”. Zachowała je jednak dla siebie, nie miała bowiem prawa okazywać zazdrości, nawet jeśli ją odczuwała.

Jak na początek marca pogoda była prawdziwie upalna; Briona zdjęła sweter, zostając tylko w białej podkoszulce. Pożałowała też, że nie jest w spódniczce, w której, byłoby znacznie chłodniej. Paul w lekkich sztruksowych spodniach i brązowej bawełnianej koszuli lepiej ocenił pogodę. Z podwiniętymi rękawami i rozpiętym kołnierzykiem wyglądał tak męsko, że dziewczynie trudno było się skupić na objaśnieniach przewodnika.

– Czy to tu mieszkasz? – zapytała, kiedy za burtą pojawiła się wyspa.

– Nie, na następnej. To Ile de la Cite. Ta zielona kępa na końcu znana jest jako Ogród Zielonego Kochanka, a to za sprawą króla, który miał podobno pięćdziesiąt sześć kochanek.

– Coś w twoim stylu, prawda?

– Już nie, od chwili kiedy spotkałem ciebie.

Widzisz, lepiej ci było trzymać język za zębami, pomyślała Briona. Wykorzystywał każdą okazję, żeby podkreślić, iż ona jest dla niego kimś niezwykłym. Kłopot w tym, że nie wiedziała, jak wielu kobietom dawał to już do zrozumienia. Przypomniał jej się Matthew, tak nieskomplikowany i prostolinijny, a w ślad za tym powróciły wyrzuty sumienia.

Miała nadzieję, że kiedy odrobinę zbliży się do Paula, obraz narzeczonego tylko na tym zyska; tymczasem stało się na odwrót: to Paul coraz bardziej

absorbował jej uwagę i uczucia. Ale to zaraz minie, uspokajała siebie, to wkrótce się zmieni.

Dokładnie w tym momencie Paul ujął jej dłoń, jak gdyby poczuł, że oddała się od niego. Ku zgrozocie Briony obraz Matthew natychmiast się rozmył.

Bezzwłocznie napłynęły też wspomnienia niecierpliwych ust i dłoni Paula oraz namiętnego pocałunku, a także jej chętniej odpowiedzi. Zrobiło jej się gorąco, co nie miało nic wspólnego z grzejącym słońcem. Mimowolnie odchyliła koszulkę na szyi.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z troską w głosie.

– Tak, tak, myślałam tylko... – O, w żaden sposób nie mogła powiedzieć, o czym naprawdę myślała.

– Tak? – nalegał.

– Pomyślałam, jakie to dziwne, że Chantal ucieka od tak wspaniałego słońca. – Wiedziała, że to trochę bezsensowne słowa, ale musiała powiedzieć cokolwiek, by zagłuszyć obrazy, o których lepiej było zapomnieć. – Bałam się też – dodała – czy ta moja ucieczka nie wyglądała jakoś idiotycznie.

– Och, Chantal wszystko zrozumiała. Powiedz, czy zawsze, kiedy czujesz się nieswojo, przygryzasz wargi? Wtedy natychmiast myślę, że lepiej byłoby je pocałować.

– Nie odważyłbyś się, mam nadzieję? Jesteśmy po prostu turystami.

– Oczywiście, że bym się nie ośmielił – odparł Paul i złożył miękki, delikatny pocałunek na jej wargach.

Nie po raz pierwszy Briona stanęła w pąsach. Powinna, jeśli już nie obrazić się na amen, to przynajmniej go zbesztać, tymczasem nie powiedziała ani słowa. Czy naprawdę flirt tak lekki i tak zabawny jest czymś niegodziwym?

– Nie trap się – szepnął. – Nic ci nie grozi w tych promieniach słońca. One są cudowne, ale zbyt wielu ludzi dookoła.

Parsknęła śmiechem.

– Nareszcie coś, na co byś się nie zdobył – rzuciła bez troski.

– Nie prowokuj mnie. Właśnie odkryłem, że nie potrafię się oprzeć twoim wyzwaniom.

– I dlatego mnie pocałowałeś przed chwilą – stwierdziła z przyganą w głosie i popatrzyła przeciągle.

– No cóż, byłem już gotów nadstawić policzek, ale jeszcze jedno takie spojrzenie, a znowu cię pocałuję.

Była tak urocza w swoim strojeniu, że wypuścił z uścisku dłoń i objął ją ramieniem. Briona nie protestowała. Przyjdzie jeszcze czas, by się zastanowić nad wszystkim. To prawda. Nie mogła wypróbować siły uczucia wiążącego ją z Matthew, odrobinę nie ryzykując.

– Pensa za twoje myśli – odezwał się Paul, a nie słysząc odpowiedzi,

dodał: – Mogę podwyższyć stawkę.

– Och, myślałam tylko, że Paryż jest daleko piękniejszy, niż się spodziewałam.

– Figa! Co innego miałaś w głowie.

– No dobrze, co innego, ale nic więcej ze mnie nie wydobędziesz.

– Pojętna z ciebie uczennica, Briono – zaśmiał się. – W porządku, porozmawiajmy o Paryżu.

– Jakoś strasznie mnie przytłoczył. Jest piękny, to prawda, ale zarazem zbyt uporządkowany, jak miasto wymyślone przez architekta, a nie wyrosłe z życia ludzi. Wiesz, wychowałam się na prowincji i nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek zatęsknię za Londynem, ale teraz chętnie wspominam wszystkie jego pagórki, parki i zaułki, które przypominają, że zrodził się z wielu wsi, które stawały się miasteczkami i powoli zrastały w miasto. Dopiero teraz, z rzeki, dostrzegam piękno, którego przedtem w ogóle nie widziałam. Przepraszam, ale tak to czuję.

– Ach, chyba uda mi się jeszcze przekonać cię do Paryża. Przyjeżdżając tutaj, popełniłaś dwa błędy. Po pierwsze, zjawiałaś się tu na początku marca, zamiast na początku kwietnia, kiedy drzewa zaczynają kwitnąć i kiedy wszystko wygląda inaczej.

– A drugi błąd?

– Przyjechałaś sama. Nie tylko Paryż, każde obce miasto przytłacza przybysza, ale teraz nie jesteś już zostawiona samej sobie i najpewniej dlatego zaczynasz inaczej patrzeć.

Paul przygarnął ją mocniej, a Briona, bezsilna i obawiająca się tej bezsilności, szepnęła:

– Wykorzystujesz każdą okazję, prawda? To jest właśnie twój styl?

– Nie chodzi mi o polowanie na okazje. Myślę o tobie bardzo poważnie. – Czując, jak ramiona dziewczyny sztywnieją, mężczyzna rozluźnił uścisk i ciągnął niefrasobliwie: – Co zaś do zaułków, pójdziemy na Montmartre. Tam już na pewno nie powiesz, że wszystko wybudowane jest pod sznurek. Paryż, podobnie jak Londyn, ma różne oblicza i trzeba tyko umieć je odnaleźć.

Na nabrzeżu natknęli się na ulicznego fotografa.

– Proszę dwa – polecił Paul, a kiedy pozowali, wyjaśnił Brionie: – Po jednym dla każdego z nas, żebyśmy mieli co wspominać.

Ona była pewna, że nigdy nie zapomni ani jednej chwili, ani jednego miejsca, ani zdarzenia, ale on, cóż, z pewnością tak wiele miał wspomnień godnych upamiętnienia, że musiał wspomagać się fotografiami. Za rok o tej porze nie będzie już pamiętał koloru jej oczu, gorzej, nie będzie mógł sobie przypomnieć nawet imienia!

– Wybierz – powiedział Paul i podał oba zdjęcia.

Na pierwszym szli roześmiani i rozgadani. Na drugim stali nieruchomo.

Paul przyciągał ją do siebie, pochylając ku niej głowę, jakby chciał ucałować jej włosy. Romantyczna chwila, zastygła na kliszy.

Briona marzyła o tej drugiej, romantycznej fotografii, ale bała się to powiedzieć, gdyż wtedy Paul odgadłby... Odgadłby co? To wszystko, co starała się przed nim ukryć?

– Wezmę to – powiedziała wskazując pierwsze zdjęcie.

– Chytrze – skwitował jej wybór i schował swoją fotografię do kieszeni. – Lepiej, żeby Matthew nie widział mojej.

Lepiej, żeby Matthew nie zobaczył żadnej, pomyślała. Przed powrotem do Londynu podrze swoje zdjęcie. Matthew mógłby tego nie pojąć, że w Paryżu na krótką chwilę stała się odrobinę inną osobą. Być może nie pojmie nawet tego, po co pojechała do Paryża. Przeszawała być pewna czegokolwiek.

– Pomyślałaś dzisiaj o nim chociaż raz? – zapytał Paul.

– Nie raz i nie dwa – odrzekła.

– Przez pomyłkę? – rzucił ze skwaszoną miną. Nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu.

– Nie przez pomyłkę, ale na pewno za rzadko. Jutro się poprawię.

Jutro! Jeszcze trzy takie dni i Paul zniknie na zawsze. Przebiegł ją dreszcz, co nie umknęło jego uwagi.

– O co chodzi? Zimno ci? W taki upał?

– Jak to mówią, czyjś duch przefrunął nad moim grobem.

– To pewnie mój, Briono, jeśli tylko nie czmychniesz tak, że nie będę wiedział, jak cię odnaleźć.

– Nie ucieknę – powiedziała, zapominając o całej ostrożności, do której tak się zmuszała.

– Briono! – wykrzyknął Paul w zachwycie. – To najpiękniejsze słowa, jakie dzisiaj od ciebie usłyszałem.

Usiłowała się ratować dowcipem.

– Muszę powiedzieć, że jako szofer spisałeś się dzisiaj nadspodziewanie dobrze.

– Dziękuję, jaśnie pani – podchwycił. – Czy na jutro wystarczy sama czapka, czy też życzy sobie pani pełny uniform?

Briona zastanawiała się przez chwilę.

– Uniform chyba sobie darujemy. Widzisz, w pośpiechu nie zabrałam futer. Mówiąc szczerze, jestem zupełnie incognito.

– A może zrezygnowalibyśmy także z samochodu? Poniósłbym panią na plecach.

Znowu musiała się roześmiać, ale jednocześnie gdzieś w głębi siebie usłyszała głos mówiący, że strasznie trudno jest znaleźć granicę oddzielającą żart od miłości...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Briona była zachwycona Montmartrem z jego kamieniczkami i wąskimi uliczkami, na których tłoczno było od ludzi. Udzieliła jej się atmosfera zakupów i wciągnęła Paula do małego sklepiku, gdzie zaczęła przerzucać stos kolorowych podkoszulków.

– Tylko dwa pięćdziesiąt – zawołała, szybko przeliczywszy cenę na angielskie pieniądze. – A ja już myślałam, że na nic nie będę sobie mogła pozwolić w Paryżu. Najwidoczniej szukałam w złych miejscach. – Wyciągnęła koszulkę w różowo-czarną szachownicę i przyłożyła do ramion. – Och tak, ta będzie dobra. Jeśli ta pogoda ma się utrzymać, koniecznie muszę mieć coś lekkiego. Wzięłam ze sobą same grube swetry.

– Wiesz, wczoraj widziałem w Galeries Lafayette bluzkę w sam raz dla ciebie. Czy mogę ci ją sprezentować?

Cały dobry humor Briony natychmiast uleciał. Tak więc koszulka, którą wybrała, wydała mu się zbyt tandetna? Już pierwszego wieczoru odwiedziła słynne Galeries Lafayette i niemal każda rzecz, którą tam widziała, wydawała jej się cudowna, ale na żadną z nich nie było jej stać.

– Różowy jedwab – ciągnął jej przewodnik. – Byłoby ci w niej bardzo do twarzy.

– Dziękuję, ale nie ma mowy – odparła szorstko. – Nawet Matthew nie kupuje mi żadnych strojów. – Inna kwestia, że nigdy nie miał na to pieniędzy.

Nie przygotowany na nagłą zmianę nastroju, Paul nalegał:

– Ale wierz mi, to naprawdę nie będzie dla mnie żaden wydatek.

– Więc zrób prezent Sheenie. Przypuszczam, że z nią wtedy byłeś.

– Jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć – padła poirytowana odpowiedź – byłem wtedy z Chantal. I niech mnie diabli, jeśli wiem, o co ci tym razem chodzi.

– Pewnie dlatego, że przywykłeś kupować rzeczy swoim wybrankom, tyle że ja nie jestem twoją dziewczyną.

– Nie musisz tego powtarzać w kółko – wybuchnął Paul. – Moje dziewczyny zawsze potrafiły być bardziej sympatyczne.

– Dzięki, to najpiękniejszy komplement, jaki dzisiaj od ciebie usłyszałam – odcięła się Briona, niemal dosłownie cytując swego adoratora.

Patrzyli na siebie rozzłoszczeni, przyciągając spojrzenia innych klientów, ale w tej chwili Brionę mało to obchodziło. „To bal Kopciuszka”, zabrzmiały jej w uszach słowa Chantal, które dały się zastosować nie tylko do tamtego wieczoru.

O nie, nie jestem Kopciuszkiem!

Z dumnie uniesioną głową Briona przemaszerowała obok Paula i

skierowała się do kasy. Trzeba było wprawdzie poczekać w kolejce, ale teraz kupiłaby podkoszulek, nawet gdyby jej się zupełnie nie podobał. Była już spokojniejsza, niemniej powtarzała sobie, że nie chodziło o drobiazg, lecz o zasadę.

Poczuła, że Paul całuje ją delikatnie we włosy.

– Przepraszam, nie zastanowiłem się, że to nietaktowna propozycja. Po prostu bardzo chciałbym zobaczyć cię w tej bluzce.

Podniosła wzrok i poczuła, jak rozplývają się resztki irytacji.

– Ja także przepraszam. Niepotrzebnie się uniosłam.

– Trudno dopasować się do siebie – powiedział z namysłem Paul – a tak niewiele mamy na to czasu. Nie ma sensu marnować go na kłótnie.

Po kilku minutach uprzedzającej grzeczności i kurtuazji powróciła dawna przyjacielska atmosfera. Zajrzeli jeszcze do kilku sklepów, niczego już jednak nie kupowali. Kiedy szli uliczką prowadzącą do podnóża wzgórza Sacre-Coeur, Paul zerknął na pełną skupienia twarz Briony i zapytał:

– A o czym teraz myślisz?

– Zastanawiam się, jaką część Londynu przypomina mi Montmartre.

– Szkoda zachodu. To niepowtarzalne miejsce. Chociaż nie, może trochę podobne do Trafalgar Square: przystań zakochanych.

– Wcale nie o to mi chodziło, myślałam o architekturze.

– Znowu odezwała się narzeczona Matthew, a ja dzisiaj chcę sobie wyobrazić, że jesteś moja. To bardziej ciekawe i bardziej zabawne, Briono.

– Ale nieprawdziwe. Na wakacjach każdy jest na chwilę trochę inny.

– Niech ci będzie. Dzisiaj nie zaryzykuję już żadnej kłótni. Zatrzymali się u stromego stoku, na którego szczycie bieleła budowla świątyni.

– Przepiękna – westchnęła dziewczyna – ale w tym upale to straszna wspinaczka.

– Pojedziemy kolejką, a z powrotem zejdziemy – postanowił Paul. – Na górze jest kawiarenka, w której będziemy mogli napić się herbaty, zanim zaczniemy zwiedzać kościół.

Kiedy wjeżdżali na wzgórze, wypoczywali na kawiarnianych fotelach, a potem oglądali wnętrze bazyliki, Briona czuła, jak ważna jest dla niej opiekuńcza obecność człowieka, którego znała od tak niedawna. Kochała Matthew, ale w inny jakiś sposób kochała także – nie dało się już tego ukryć – Paula. I zupełnie nie wiedziała, czym się to wszystko skończy.

– Chcesz wejść na galerijkę pod kopułą? – spytał szeptem Paul, gdy cofnęła się od ołtarza, na którym ustawiła płonąca świecę.

– Pewnie. Kto wie, kiedy znowu znajdę się w Paryżu – odparła cicho.

Ach, ta bolesna pewność, że jak długo on tutaj jest, za nic nie chciała opuszczać Paryża. Jakie to szczęście, że wyjeżdżali tego samego dnia. Prowadzona przez Paula, odwróciła się jeszcze i spojrzała na świecę: ciągle

płonęła, ale już za kilka chwil miała zgasnąć.

Jak ja i Paul, pomyślała, a igła bólu przeszła jej serce.

Zaczęli wspinać się po krętych stopniach, a kiedy Briona pomyślała, że bez końca będą się tak wznosić aż do nieba, zniemacka stanęli w pełnym słońcu.

Paul rozłożył ramiona, a ona oparła się o jego pierś, z trudem łapiąc oddech. Zamknęła oczy, czując twardość jego ramion, które potrafiły zarazem być tak delikatne i troskliwe. Czuła, że powinna jakoś usprawiedliwić tę chwilę słabości.

– To nie takie proste być turystą – westchnęła.

Nic nie mówiąc, zajął jej w oczy, a wtedy Briona lekko przybliżyła twarz i delikatnie rozchyliła usta. W powolnym ruchu zbliżenia ich wargi zetknęły się, ale w jakiś przedziwny sposób pocałunek pełen był nie tyle namiętności, ile spokojnego wyznania.

– To... to było takie niespodziewane – bąknął Paul, kiedy się rozłączyli.

– Wiem – szepnęła Briona i odwróciła się, chłonąc widok Paryża, bardziej bliski i swojski niż z wieży Eiffla.

– Nie gniewasz się na mnie? – spytał niepewnie. Pokręciła głową, dobrze wiedząc, że czas swarów i gniewów był już za nimi.

– Wiesz, że cię kocham.

– Nie, nie wiem – pokręciła głową.

– Co znaczy po prostu tyle, że nie możesz powiedzieć, iż ty mnie kochasz.

– Chciałbyś prostych odpowiedzi. – Odwróciła się z westchnieniem, zostawiając za sobą urzekający widok miasta. – Widzisz, ja niczego nie jestem pewna. Potrzeba mi czasu...

– A jego właśnie mamy najmniej!

– Jeszcze cztery dni – szepnęła. – Daj mi cztery dni. Nie przykładaj mi ciągle lufy do skroni. Matthew nie jest człowiekiem, o którym mogłabym zapomnieć w jeden wieczór i...

Nie dokończyła zdania, dobrze wiedząc, że gdyby Paul znowu ją pocałował, wszystkie zobowiązania i wszystkie dawne wartości rozpląnęłyby się bez śladu. Ale potem wróciłyby jeszcze potężniejsze niż dawniej i zabiłyby wszystko, co już zdobyli. Jeśli zdobyli cokolwiek...

Ale jakże mógł to zrozumieć on, żyjący chwilą i nie przepuszczający żadnej okazji? Więc dalej brnęła w bezładne wyjaśnienia.

– Jeśli... jeśli ciągle będziemy czuli... jeśli pod koniec tygodnia będziemy czyli to, co teraz, przestanę walczyć. Nie mogę być czyjaś narzeczoną i zarazem... – Zabrakło jej słów; po chwili bezskutecznych poszukiwań powiedziała więc tylko: – To nie byłoby uczciwe.

Zapadło nieznośne milczenie, aż wreszcie na twarzy Paula pojawił się lekki uśmiech.

– Zgoda. Cztery dni jako turyści, a potem zobaczymy.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie, co było jakby przypieczętowaniem ugody. I całkiem naturalne wydało się teraz, że ruszyli w kierunku schodów trzymając się za ręce.

– Odwiozę cię do hotelu – powiedział – a o ósmej zjawię się, żeby cię zabrać na kolację.

– Nie trzeba. Zaraz naprzeciwko hotelu jest bardzo dobra restauracja. Nie musisz troszczyć się o mnie przez cały czas.

– Wprost przeciwnie – powiedział Paul. – Muszę, ale tylko dlatego, że tego pragnę. A może tobie znudziło się moje towarzystwo?

Briona w milczeniu popatrzyła na czubki butów i tylko pokręciła głową. Kiedy po dłuższej chwili ich oczy znowu się spotkały, Paul westchnął.

– Nigdy nie przypuszczałem, że turystyka może być taka trudna – rzekł z goryczą.

Gdy znaleźli się u stóp wzgórza, byli znowu niefrasobliwi i weseli, jak gdyby nie padły żadne ważne słowa.

Słońce było już nisko, kiedy zanurzyli się w uliczki Montmartre’u, machając rękami jak zakochani uczniacy.

– Zmęczona? – zapytał Paul.

– Tak – odparła z westchnieniem. – Najdalej za pół godziny chciałabym już leżeć z wyciągniętymi nogami i poduszką pod głową.

– I będziesz czekała na mnie o ósmej? Nie muszę już przyjeżdżać godzinę wcześniej?

– Nie musisz.

Tak jak przypuszczała, pojechali do nocnego klubu. Miała na sobie czerwoną dżersejową sukienkę, nie najbardziej odpowiednią może na tę okazję, ale jedyną w jej walizce poza strojem, w którym wystąpiła na przyjęciu u Chantal. Marzyła o czymś z jedwabiu albo koronki, kiedy jednak spoglądała na swoje odbicie w lustrze, widziała blask, który nie miał nic wspólnego z fryzurą ani makijażem, blask, który zawdzięczała Paulowi. I to było najważniejsze.

Jedli, pili i tańczyli, a w tańcu ich ciała zaczynały żyć własnym życiem. Wtulając się w siebie wyznawały rzeczy, których Briona nigdy nie ośmieliłaby się powiedzieć, nawet gdyby Paul bardzo na to nastawał. On jednak bardzo dbał o to, by nie wprawiać jej w zakłopotanie. Kiedy wracali do stolika, podejmował jakiś obojętny temat, tak że chwile tańca stawały się magicznymi przerywnikami, a Briona mogła rozkoszować się nimi i nie martwić o konsekwencje.

W hotelowym holu Paul ujął w dłonie twarz Briony i przytulił czoło do jej czoła.

– Do jutra – mruknął. – Zupełnie jak za sto lat Dziewczyna przytaknęła. Wypiła tylko odrobinę wina, ale była jak odurzona. Marzyła o jego uścisku, patrzyła na jego wargi, a oczy same przymykały się w oczekiwaniu pocałunku.

Tymczasem Paul patrzył na nią długo, a potem opuścił ręce i gwałtownym ruchem wcisnął je do kieszeni.

– Śpij słodko – mruknął, musnął wargami jej policzek i odszedł.

Briona poczuła się jak oszukana: jej ciało odmówiono czegoś, czego tak bardzo pragnęło. Na podobieństwo dziecka, któremu odebrano obiecaną przyjemność, spoglądała nieruchomo na kołyszące się drzwi. Widziała przez nie, jak Paul podchodzi do samochodu, kładzie rękę na klamce, a potem odwraca się i znowu idzie ku niej. Teraz znowu oddychała, znowu żyła, a po chwili zatoneła w jego uścisku. Pocałunek pełen był desperacji; usta wpijały się w siebie i nie chciały przestać.

Wreszcie Paul szepnął z ustami w jej włosach:

– Bóg jeden wie, jak bardzo się starałem, ale my nie możemy być po prostu turystami i nikim więcej.

Briona, bliska płaczu, pokręciła głową.

– Wiem, ale musimy spróbować. Chcę być uczciwa wobec Matthew. To mój narzeczony... tyle już wspólnie przeżyliśmy... Nie mogę po tym wszystkim ot, tak sobie, wskoczyć do twojego łóżka po dwóch dniach znajomości.

– Wskoczyć do łóżka? – powtórzył mężczyzna. – Wydaje ci się, że jedynie o to mi chodzi?

A skądże ja mam to wiedzieć, pomyślała z rozpaczą Briona. W uszach zadźwięczały jej słowa Sheeny, że Paula fascynuje w niej tylko opór. Intuicja podpowiadała co innego, ale... Podniosła oczy, a delikatne palce przesunęły się po jej policzkach, podczas gdy usta przymknęły powieki.

– Paul – powiedziała zbolalym głosem – czuję się taka rozdarta. Chcę być z tobą, ale jednocześnie wiem, że ciągle należę do Matthew. Potrzeba mi jeszcze trochę czasu... żeby się upewnić. Jeśli nie zechcesz czekać, pójdę za tobą wszędzie, ale zbolała i z okropnym poczuciem winy. A tego chyba byś nie chciał, prawda?

– Dobrze wiesz, że nie – rzucił z nieoczekiwaną goryczą. – Czy ten twój Matthew to taki wspaniały facet, czy to ty jesteś osobą, która idzie na dno razem ze statkiem?

– Jestem osobą, która zakochała się w tobie i która jest przerażona.

Przyciągnął ją mocno i wtulił się w puszyste włosy.

– Nie bój się niczego. Będiesz miała tyle czasu na decyzję, ile zechcesz. Jutro będę taki turystyczny, że wezmę nawet ze sobą aparat!

Roześmiała się przez łzy.

– Popatrz, a ja nawet o tym nie pomyślałam, kiedy się pakowałam.

Kiedy tym razem jego usta tylko musnęły jej policzek, nie czuła się już tak rozczarowana jak poprzednio.

– Śpij dobrze – szepnął. – Jeśli nie oddalę się natychmiast, w ogóle już nie pójdę.

– Do jutra – powiedziała miękko, odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach, ale dopiero pod drzwiami pokoju uświadomiła sobie, że nie wzięła klucza z recepcji. Musiała po niego wrócić, ale nieustannie poruszała się jak we śnie. Powiedział, że ją kocha. Każda komórka jej ciała pragnęła mu wierzyć, uwierzyła więc. Nie rozwiązywało to wszystkich problemów, ale na kilka dni pozwalało odłożyć je na bok.

A były to czarowne dni. We wtorek pojechali do Wersalu.

Trzymając się za ręce wędrowali za przewodnikiem po pałacu, którego wielkość zdumiała Brionę. Kiedy znaleźli się w Galerii Lustrzanej, Paul parsknął śmiechem na widok miny swojej towarzyszkii.

– Zakład, że nigdy jeszcze nie widziałaś czegoś podobnego.

– Nigdy! – wykrzyknęła siedemnastoma parami ust z siedemnastu wielkich luster. – A może bym tak została królową?

– Najpierw musisz trochę popracować nad językiem – usłyszała poważną odpowiedź.

Zaśmiała się radośnie, a kiedy podniosła wzrok, napotkała jego czułe spojrzenie.

– Jesteś inna niż dziewczyna, na którą wpadłem w niedzielę. Z każdą chwilą stajesz się coraz bardziej zachwycająca, a przecież już wtedy byłaś zniewalająco czarująca.

Chociaż mówił bardzo serio, ona wołała pozostać przy żartach.

– Okazuje się, że jednak nie na tyle, by zostać królową.

– To trudne w republice. Jeśli gotowa jesteś poprzestać na czymś mniejszym, możesz zostać moją władczynią.

Ach, to niespokojne serce. Pewna, że to tylko dowcip, odcięła się z uśmiechem:

– Mówisz to wszystkim dziewczynom?

– Tylko tym najładniejszym.

I znowu wszystko zostało obrócone w żart, ale słowa Paula wielokrotnie powracały do niej podczas przechadzki po pałacowych ogrodach.

– Głodna? – zapytał wreszcie.

– Jeśli to jest twój sposób na oznajmienie, że jesteś głodny, to dobrze się składa, gdyż tak samo jest ze mną.

Kilka kilometrów za Wersalem zjechali z głównej drogi i znaleźli się pośród pól.

– Wspaniale! – wykrzyknęła Briona. – Ja tak kocham wieś. Mówiłam ci już, że oprócz tych lat w college'u i kilku miesięcy w Londynie, przez całą resztę życia byłam prostą, wiejską dziewczuchą?

– Nie użyłaś może tych słów, ale udało mi się wychwycić sugestię.

– A oto następna: jeśli szybko nie znajdziemy restauracji, będzie już czas nie na obiad, lecz na popołudniową herbatkę.

– Po pierwsze, jesteśmy we Francji, po drugie, dobrze wiem, dokąd jadę. Jeszcze tylko parę minut Ich celem okazała się przydrożna karczma, z zewnątrz nie wyglądająca zbyt zachęcająco.

– Jeśli masz nadzieję, że w ten sposób zrazisz mnie do francuskich restauracji, to musisz wiedzieć, że gotowa bym teraz zjeść konia z kopytami.

– Nie obawiaj się, byłem już tutaj i wiem, że jedzenie mają znakomite.

„Z Sheeną?” przemknęło jej przez myśl pytanie, które czym prędzej odegnęła. Po cóż samej dręczyć się przypuszczeniami?

Właściciel przywitał ich tak serdecznie, jakby byli starymi klientami, a Brionie w niczym to dziś nie przeszkadzało, że są po prostu traktowani jako para. Zjedli małże w sosie koperkowym, stek z pieczarkami, sery i owoce, a ona przez cały czas czuła się cudownie w towarzystwie Paula. Chociaż rozumiała, iż jest to równie groźne jak namiętność, która kilka razy nimi owładnęła, w żaden sposób nie potrafiła oprzeć się temu błogiemu nastrojowi. Starła się nic nie uronić ze smaku chwili i jak najmniej troszczyć się o przyszłość.

Po wyjściu z restauracji zrobili jeszcze przejażdżkę po okolicy, a gdy na koniec znaleźli się pod hotelem, Paul spytał: – Czy możesz być gotowa za godzinę?

– Tak, ale nie ma mowy o żadnym obżarstwie.

– Tylko mała przekąska, ale za to mnóstwo tańca.

Pokiwała głową i nadstawiła policzek do pocałunku; nie mogła tak po prostu odwrócić się i odejść. Igrała z ogniem i wiedziała, jak coraz bardziej potrzebuje jego ciepła.

Bawili się do drugiej nad ranem; recepcjonistka w hotelu nie oglądała już telewizji i zza wysokiej lady widać było tylko czubek jej głowy.

– Śpi – szepnął Paul i cicho wsunął się za kontuar. – Który numer?

– Trzydzieści dwa.

Powrócił z kluczem, a ich ręce zamknęły się na sobie. Znienacka przywarli do siebie, zupełnie jak w tańcu. Tak trudno, tak strasznie trudno było rozerwać uścisk. Aż wreszcie Paul odsunął dziewczynę na odległość ramion.

– Do jutra, do dziesiątej. Przygryzła wargi, marząc o pocałunku.

– Nie rób tego – bąknął. – Powinnaś nosić ostrzeżenie: „Materiał łatwopalny – trzymać z dala od ognia”. A moje ramiona nie są w tym przypadku najbezpieczniejszym miejscem.

Nagle poczuł na policzku chłód klucza, dotyk jej rozpalonych warg, a już w następnej sekundzie zobaczył, jak biegnie po schodach. Mimowolnie ruszył jej śladem. Trzymał już rękę na poręczy, a nogę na pierwszym stopniu, kiedy zdołał się opanować. Stał przez chwilę nieruchomo, potem gwałtownie odwrócił się i wybiegł przez wahadłowe drzwi hotelu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Aż trudno było uwierzyć, jak wiele udało im się zobaczyć w tak krótkim czasie. Odwiedzali zakamarki Paryża, o których nie wspominały żadne przewodniki, ale znaleźli też czas na Luwr i Katakumby. Im bardziej jednak starali się wykorzystać każdą minutę, tym szybciej upływał czas. Środa zamieniła się w czwartek, czwartek niemal natychmiast stał się piątkiem.

Pod wieczór Paul zadał pytanie, które męczyło go od samego rana:

– O której masz jutro samolot?

– O dziesiątej. A ty?

– Ja wylatuję jeszcze wcześniej. O siódmej.

Zapadła cisza. Jeszcze tylko kilka godzin, a tak wiele rzeczy ciągle nie rozstrzygniętych. Zgodnie z przyrzeczeniem Paul nie ponaglał decyzji Briony, ale czas upływał nieubłaganie. Musiała rozstrzygnąć: albo wrócić do spokojnego życia z Matthew, albo zdecydować się na nieznaną u boku Paula.

– To nasz ostatni wieczór – powiedział wolno i z naciskiem. – Pragnę cię dla siebie. Pojedziemy do mnie? Przygotuję coś do zjedzenia.

Dobrze pojmowała, że jeśli odpowie „tak”, wcale nie będzie chodziło o miłą kolacyjkę. Postanowienie musiała podjąć tutaj, natychmiast, a nie dopiero za kilka godzin, kiedy bezsennie przewracałyby się na wąskim hotelowym łóżku.

Bezskutecznie usiłowała sobie przypomnieć Matthew i to, co między nimi było. Paul bez reszty zawładnął teraz jej myślami i sercem. Nagle zrozumiała, że tak naprawdę ani przez chwilę się nie wahała. Problem polegał tylko na tym, kiedy odważy się sama przed sobą do tego przyznać. I oto chwila nadeszła.

– Briono? – usłyszała miękki głos Paula.

Cała przyszłość rozstrzygała się w tym momencie, a przecież nie potrafiła zdobyć się na proste „tak”.

– Potrafisz gotować?

– Czy to ważne? – odpowiedział pytaniem na pytanie. Spojrzała teraz śmiało w szare oczy i bez żadnych już wykrętów rzekła wyraźnie i stanowczo:

– Nie.

– Będę o siódmej – oznajmił i, jak każdego dnia, lekko musnął wargami policzek Briony. Tym razem jednak umawiali się na wieczór godzinę wcześniej. Teraz każda chwila spędzona oddzielnie była zmarnowana.

To mogło się zdarzyć tylko w Paryżu, pomyślała patrząc, jak mężczyzna idzie do samochodu, ale już w następnej sekundzie wiedziała, że to nieprawda. Gdziekolwiek w świecie spotkaliby się z Paulem, wszystko przebiegłoby dokładnie tak samo. Być może tylko gdzieś indziej jeszcze bardziej zmagaliby się z decyzją. Być może.

Odbierając klucz, zamówiła kąpiel, a w pokoju dokonała kolejnej inspekcji zawartości szafy. Jej garderoba była bardzo uboga i nie pozostawało nic innego, jak tylko powrócić do czarnej sukienki, którą miała na sobie u Chantal. Od tamtego wieczora nie nakładała ogromnych klipsów, ale dzisiaj znowu przyszła na nie pora. Pasowały do dziewczyny Paula, a nadeszła właśnie chwila rozstania z Matthew.

Przez cały czas, kiedy kąpała się, robiła toaletę i ubierała, starała się zapomnieć choć na chwilę o swojej decyzji. Podjęła ją, a teraz następowały tylko nieuniknione konsekwencje. Niczym niezmacony spokój ducha trwał do chwili, gdy wskazówki zegarka znalazły się w pobliżu godziny siódmej. Policzki nagle ją zapiekły, a ręce zaczęły się trząść. Tak pewnie jest przed ślubem, pomyślała. Nie wychodziła za mąż, to prawda, ale postanowienie wcale nie było mniej poważne.

Paul zjawi się po nią i pojedą do niego, a ona nic na to nie mogła poradzić. Nie przypuszczała, by Matthew potrafił to pojąć. Miała wrażenie, że wydarzenia dzisiejszego wieczoru były przesądzone od dawna. Od dawien dawna. To był los, któremu nie sposób się przeciwstawić.

Czy gdziekolwiek we Wszechświecie ktokolwiek doceni, że tak długo walczyła z Nieuchronnością? A czy dla niej samej miało to w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie? Przyplłynęło do niej wspomnienie szarych, uważnych, czułych oczu Paula i wiedziała, że nie, nie dzisiaj, nie tej nocy.

Wpatrzyła się w swoje odbicie. Kredką nałożyła lekki cień na powieki i podkreśliła kontur oczu; wargi pomalowała prowokacyjnie różową szminką. Matthew byłby zaskoczony, ale nie Paul. Oto wyłaniała się z niej kobieta, którą on w niej dojrzał, a którą zawsze chciała być.

– Całuj psa w nos, Sheena – mruknęła do lustra. – On jest mój i nigdy mi go nie odbierzesz.

Paul w zachwycie spoglądał na nią, kiedy schodziła do holu.

– Wyglądasz zabójczo! – szepnął, zbliżając wargi do jej ust. Briona udawała, że nie dostrzega ciekawskiego spojrzenia z drugiej strony lady recepcyjnej; położyła na niej klucz i wyszli, mocno do siebie przytuleni.

– Jak tam prace kuchenne? – zapytała, kiedy wsiadali do wozu.

– Nie najlepiej, ale nie bój się, nie dam ci umrzeć z głodu. Zachichotała; w jego wydaniu wszystko wydawało się takie proste i naturalne. A może to tylko efekt wielokrotnego odgrywania tej uwodzicielskiej intrygi? Nie, to niepodobna, żeby tak gorąco pragnęła mężczyzny, który zupełnie by jej nie kochał. To niemożliwe, żeby była tak głupia i naiwna.

– Czemu tak zamilkłaś? – zainteresował się Paul, kiedy przejeżdżali przez most nad Sekwaną.

– Właśnie zastanawiałam się, czy pamiętałam o kroplach żołądkowych – odparła ze śmiertelną powagą, która przyprawiła kierowcę o atak śmiechu.

Zatrzymali się przed wysoką kamienicą. Gdy szli do windy, a potem korytarzem podchodzili do drzwi, nawiedziło ją osobliwe uczucie, że kiedyś już przeżyła tę scenę, że to nic nowego i nadzwyczajnego, tylko powrót do szczęśliwych miejsc...

Ledwie stanęła w progu mieszkania, natychmiast poczuła się w nim przytulnie i swojsko. Paul pomógł jej zdjąć płaszcz, a ona lekko zmarszczyła nos.

– Nie czuję żadnych aromatów – oznajmiła.

– Jeszcze poczujesz. Tak bardzo pragnąłem zobaczyć cię tutaj, nie mogłem uwierzyć, iż to naprawdę nastąpi. Nie jestem przesądny, ale tym razem bałem się uprzedzać wypadki. Potrafisz to zrozumieć, czy wydaje ci się, że zbzikowałem?

Rozumiała aż za dobrze, co najlepiej powiedziało ciało, przywierające do niego i wtulające się.

– Briona – usłyszała szept lekki jak powiew wiatru. – Moja kochana Briona – powtórzył Paul, a jego ręce zsunęły się po ramionach kobiety, by mocniej przyciągnąć jej biodra.

Natychmiast poczuła, jak bardzo jej pragnie. W instynktownej, gdzieś z największych głębin płynącej odpowiedzi, mocno i powoli otarła się o ciało mężczyzny. Nigdy nie podejrzewałaby siebie o tak żywiołowe zachowanie. Opadły z nich raptem wieki konwenansu i dyktatu norm, a pozostały tylko istoty płonące prastarym pragnieniem.

Paul rozpiął suwak sukienki, a pod dotykiem jego rąk ciało Briony wygięło się w rozkoszonym spazmie. Materiał spłynął na podłogę, odtrącony niecierpliwą nogą Paula. Rozpięła jego koszulę, przesunęła dłonią po czarnych włosach i nagle przywarła do nich piersiami, jak gdyby miała nadzieję ukoić w ten sposób bolesne naprężenie sutków. W sekundę później wydała przeciągłe westchnienie ulgi, bo poczuła, jak jego zręczne, delikatne palce otulają krągłość piersi, szukając złaknionych pieszczoty brodawek. Jej ciało ogarniał płomień coraz potężniejszej namiętności, której starała się dać upust, lekko wpijając się zębami w skórę na jego barkach i piersiach.

Poczuła, jak silne ramiona dźwigają ją, niosą i wreszcie składają w jedwabnej pościeli. Dalej trwała tortura żądzy wołającej o spełnienie, kiedy kochanek pokrywał pocałunkami jej piersi, zarazem wyzwalał je oboje z resztek odzienia. Ciało bez przeszkód dotykało teraz ciała; niecierpliwie ręce Briony natarczywie ponaglały Paula, podczas gdy jego usta wielbiły wszystkie zakamarki jej kobiecości. Nie mogąc już znieść napięcia, zaczęła krzyczeć, a wtedy wniknął w nią i pogrążał się coraz głębiej i głębiej, coraz bardziej żarliwie. Zatracała się, rozpływała w coraz wyższych falach rozkoszy.

Kiedy spływali z niebosiężnego szczytu, kołysała lekko ukochanego, przyciskając jego głowę do swych piersi. Nie padło ani jedno słowo; serca ciągle

łomotały, a myśli i ciała obydwójga dopiero zaczynały się rozplatać.

Policzki Briony były mokre od łez. Poznała ekstazę i wiedziała już, czym jest spełnienie. Kochała Paula: jego serce, ciało i duszę. Dzięki Matthew otworzyła się na inną osobę, ale na tym nie mogła poprzestać, gdyż jakieś najgłębsze pragnienie ciągle domagało się swoich praw. I oto odnalazła mężczyznę, dla którego się urodziła.

Mruknęła z niezadowoleniem, kiedy Paul w końcu lekko odsunął się od niej. Chciałaby trwać tak bez końca. Pragnęła, by czas się zatrzymał. Pragnęła... rzeczy niemożliwych!

Czułość i miękkość jego spojrzenia złagodziła ból rozłączenia. Paul zaczął osuszać ustami jej policzki.

– Mam wrażenie, że zostałem zgwałcony – mruknął po chwili.

Uśmiechnęła się leciutko, nie czując najmniejszego wstydu czy zakłopotania. Była teraz Brioną Spenser, którą Paul nie tyle stworzył, ile odkrył.

– Takie to okropne? – zapytała przekornie.

– Byłem... – przez dłuższą chwilę szukał odpowiedniego słowa – w jakimś innym świecie. Chyba dotykałem gwiazd.

– To możliwe. Ja wzbiłam się ponad nie.

– Teraz rozumiesz – szepnął Paul i przytulił czoło do jej czoła – dlaczego za pierwszym razem nie mogłem pozwolić ci odejść? Wystarczyło jedno spojrzenie, a zapragnąłem ciebie bardziej niż jakiegokolwiek dotąd kobiety. I zawsze będę pragnął.

Wszystko działo się tak szybko, iż Briona nie mogła uwierzyć w szczęście tak doskonałe i tak jej własne.

– Nawet teraz – zapytała nieufnie – kiedy paczek nie kryje już żadnych nowych płatków?

– Przecież one nieustannie będą się pojawiać, a ja niezmiennie będę tobą zdumiony i urzeczony.

I wtedy, patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

– Tak bardzo cię kocham!

– Uff – skrzywił twarz w grymasie. – Ile trzeba było czasu i zachodu, żeby to wreszcie z ciebie wydobyć.

– Niecały tydzień – zaprotestowała. – A tyle miałam jeszcze innych spraw na głowie.

Paul zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem, zwierając ramiona w mocnym uścisku.

– Nie będziemy chyba teraz rozmawiać o tych „innych sprawach”, co?

– Hm, a co niby będziemy robić?

– Mamy wiele możliwości: kąpiel, pichcenie, jedzenie...

– Zdaje się, że zaczęliśmy od niewłaściwego końca.

– Nie – odparł, niosąc ją do łazienki. – Każdy etap będziemy mogli

potraktować jako wstęp do kochania się.

– Ej, słuchaj, ale nie zaplanowałeś sobie tego wszystkiego?

– Skądże, mówiłem ci, że nieustannie mnie zaskakujesz i urzekasz.

– Obawiam się, że szybko możesz się mną znudzić. Nie ma we mnie nic nadzwyczajnego.

Paul popatrzył na nią zdumiony.

– Briono, uwierz mi, jesteś zupełnie niezwykła. Byłem pewien, że wiem wszystko o kobietach, ale dowiodłaś mi, że kompletnie się myliłem. Mam nadzieję, że do końca życia będę gwałcony przynajmniej raz na dzień.

Teraz poczuła, że nie zmieniła się aż tak bardzo, gdyż spłonęła rumieńcem i ukryła twarz w jego ramionach.

Paul ze śmiechem odkręcił kurki, a kiedy stanęli w strugach wody, powiedział:

– Żadna nieśmiałość już mnie teraz nie zwiedzie. Dobrze wiem, jaka drapieżnica chowa się za tymi pasami.

W odpowiedzi Briona zawarczała. I nagle zaczęli się znowu kochać, dużo wcześniej, niż skłonni byliby przypuszczać.

Potem, w szlafrokach, a Briona z suszarką do włosów w rękach, wkroczyli do kuchni.

– Chcę coś prostego – powiedziała. – Czuję się głodna, ale źle mi się robi na samą myśl o kwadransach spędzonych przy kuchence.

– Trudno o coś prostszego. Koktajl z krewetek gotowy w lodówce. Kebaby gotowe w piekarniku. Gotowe sałatki na stole. I wino już chyba dostatecznie schłodzone.

– Ho, ho. Jednak trochę się napracowałeś.

– Chciałem zostawić sobie jak najwięcej czasu na uwodzenie cię, ale ty wszystko bardzo uprościłaś.

– De razy mi to jeszcze przypomnisz? – zapytała ze śmiechem, ale zaraz dodała poważnie: – Czy owo, jak je nazywasz, „uwiedzenie” było aż takie ważne? Czy nie wystarczyłoby, gdybyśmy sobie po prostu wyznali miłość? Paul potrząsnął głową.

– Musiałem poczuć, że jesteś moja. Po pierwsze, nie zniósłbym myśli, iż należysz do innego mężczyzny. Po drugie, nie byłbym do końca pewien twojego rozstania się z Matthew, gdybyś nie zawierzyła mi siebie. Lojalność jest dla ciebie ogromnie ważna i nie zaznałbym chwili spokoju, gdybym nie wiedział, iż teraz lojalna chcesz być przede wszystkim wobec mnie. Pragnę, by całe twoje życie stało się moim.

Położyła mu palce na wargach, wstrząśnięta żarliwością niepokoju, z jakim mówił o ich związku.

– Cała jestem twoja – powiedziała wolno i wyraźnie. – Sercem, umysłem, duszą i ciałem.

Kiedy nakryli już do stołu, nie oddalając się od siebie dłużej niż na minutę, i zasiedli przy świecach nad talerzami, Brionie wszystko wydało się snem. I nagle przypomniały jej się słowa, jakie wyrzekł pierwszego dnia: „Mam do czynienia jedynie z twardymi faktami. Marzenia i fantazje zostawiam innym”. Poczowała chłód na plecach. Dobrze przecież wiedziała, że od razu oceniła go jako człowieka, który zawsze zdobywa to, czego chce. Taksówkę podczas ulewnego deszczu... wymarzoną dziewczynę w łóżku...

– Paul...

– Tak, kochanie?

– Ten nasz pierwszy obiad. Wzniosłeś wtedy toast za mój ślub z Matthew. Jak mogłeś to zrobić, skoro nie chciałeś, żebym za niego wyszła?

– Toast był za twój ślub. Nie powiedziałem z kim.

– Aha. – Tej możliwości nie uwzględniła, ale odpowiedź wcale jej nie uspokoiła. – Obiecałeś także wyjaśnić, dlaczego nie powinnam wychodzić za Matthew; trudno o dogodniejszy moment – Pojawił się w twoim życiu – zaczął Paul, mocno ściskając palce Briony – w chwili, kiedy potrzebowałam kogoś, kogo mogłabyś pokochać i kto pokochałby ciebie. Jestem pewien, że to uczucie wydawało się wtedy jak najbardziej prawdziwe, ale oparte było na zagrożeniu i zależności. To była dziewczęca miłość i z czasem z niej wyrosłaś. Jesteś już kobietą, chcącą kochać i być kochaną na równych prawach i stąd poczucie niespełnienia. Tyle że nie wiedziałaś, czego ci brakuje i dlatego uciekłaś w poszukiwaniu odpowiedzi.

– Ale powiedziałam ci od razu, że nie szukam w Paryżu przygód.

– Jeśli to możesz nazwać przygodą... – Briona zmarszczyła brwi i natychmiast bolesny uścisk palców Paula zelżał, ale jego głos był pełen pasji. – Czy naprawdę masz jeszcze jakieś wątpliwości?

– Nie – odparła pospiesznie – ale jeśli naprawdę się kochamy, to przecież możemy o tym rozmawiać?

– Możemy próbować, jeśli zechcesz wziąć pod uwagę moją naturę zazdrośnika. To może cię zboleć, ale nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłbym dzielić z kimś innym nawet twoje myśli.

Przyciągnęła do siebie splecione dłonie i ucałowała jego palce.

– Kilka razy mówiłeś, żebym zaufała tobie. Więc także i ty musisz mi zaufać.

– Masz straszliwy zwyczaj – oznajmił Paul żalonym głosem – wykorzystywania przeciwko mnie moich własnych słów. Tak czy owak, pamiętasz swoją obietnicę, że wyjdiesz za mąż tylko z miłości.

– To więcej niż obietnica – odparła poważnie Briona. – To przysięga.

– Co rozwiązuje wszystkie problemy, prawda?

Przytaknęła, choć daleko nie wszystkie problemy były rozwiązane, ale z resztą potrafiła dać sobie radę, czerpiąc siłę z miłości Paula. Ona pozwoli jej

znaleźć odpowiednie słowa dla Matthew. Powie mu po prostu, im szybciej, tym lepiej, że nie może już dać mu szczęścia. A wtedy on pozwoli jej odejść. Bo co innego będzie mógł zrobić?

Leżeli w łóżku, przytuleni, rozkoszując się poczuciem zjednoczenia, niewiele mającym wspólnego z namiętnością, która i tak znajdzie swoją chwilę.

– Kiedy się znowu zobaczymy? – zapytała Briona, gładząc palcami ramię, które zachwycało swoją siłą.

– Na początku drugiej dekady czerwca będę w Londynie. Stamtąd zabiorę cię do Nowego Jorku. Szczegóły ustalimy później.

– Trzy miesiące – westchnęła. – Ale chyba będziemy pisać do siebie?

– Zadzwoń, gdy tylko znajdę się w Hongkongu. Briona uniosła się na łokciu. Był taki przystojny i cały jej.

Ciągle nie mogła w to uwierzyć i może dlatego odżywały w niej wątpliwości.

– Jeszcze tego nie wiesz? – zapytała podejrzliwie.

– Po drodze muszę odwiedzić różne nasze filie i trudno z góry przewidzieć, ile mi to zajmie.

– Nie mogę znieść myśli, że nie będzie z tobą żadnego kontaktu.

– Dobrze, odezwę się już jutro wieczorem.

– Lepiej pojutrze. Jutro może mnie nie być w hotelu. Muszę załatwić sprawę z Matthew.

– Dobrze, niech będzie poniedziałek, ale musisz przyrzec, że będziesz przez cały czas myślała o mnie.

Obiecała, on zaś uniósł się, ułożył ją na plecach i zaczął całować z rosnącym żarem. Zażyłość, która zaczęła się rodzić między ich ciałami, uczyniła przeżycie i spełnienie jeszcze bardziej wstrząsającymi; zasnęli potem objęci i wtuleni w siebie.

Briona ocknęła się pierwsza i zobaczyła, że nie zgasili lampki nocnej. Ostrożnie sięgnęła do wyłącznika, a potem leżała patrząc, jak ciemność zamienia się w szarość przedświt.

Od zewnętrznego świata oddzielały ich tylko cienkie firanki; poruszyła się niespokojnie, chyba bojąc się kruchości tej osłony, a wraz z tym przypląnęły niewesołe myśli. Biedny Matthew, w niczym nie zasłużył sobie na to, co go spotka. Co go już spotkało. Spojrzała na twarz Paula i uczucie skruchy przygasło: nie można obciążać jej odpowiedzialnością za to, co nieuchronne i nieodparte.

Nie można?

Oczy wędrowały po pokoju, zatrzymując się na sprzętach, których dyskretna elegancja musiała kosztować fortunę. Świat bogactwa, do którego należał Paul, był jej obcy i nie wiedziała, czy potrafi się w nim odnaleźć. Spakowane walizki stały pod ścianą. Bardzo droga skóra. Będzie pewnie mógł

ich używać jeszcze przez lata, podczas gdy jej neseser już się rozpadał. Briona lekko potrząsnęła głową. Myślała o wszystkim i o niczym, jakby zupełnie zapomniała, że już wkrótce będą musieli się rozstać.

Widziała, jak Paul nastawiał budzik, nie mogła go jednak dostrzec, gdyż stał po drugiej stronie łóżka. Została im jeszcze godzina, dwie? Czy tylko kilka minut? Znienacka rozbrzmiały w jej uszach słowa Chantal: „Nie zmarnujcie tego czasu. Te chwile mogą się już nigdy nie powtórzyć”. Zsunęła się na poduszce i wtuliła w Paula, który, mruknawszy przez sen, przygarnął ją do siebie. Przywarła policzkiem do jego twarzy. Mogą znaleźć się daleko od siebie, ale nic ich już naprawdę nie rozdzieli, gdyż łączy ich najsilniejsza z więzi: miłość.

Nawet nie wiedziała, kiedy oczy jej się zamknęły i znowu zapadła w sen. Terkot budzika był tak przenikliwy, że oboje zerwali się z pościeli, mrugając powiekami. Trzeba było się spieszyć, gdyż Paul nastawił zegar na ostatni moment, chcąc jak najbardziej wydłużyć wspólne chwile. Razem wskoczyli pod prysznic, potem pospiesznie się ubrali, a kiedy przełykali kawę, poranną ciszę rozdarł dźwięk dzwonka.

– Taksówka – mruknął Paul i rozłożył ręce, a Briona rzuciła się w nie, by poczuć jego usta na włosach, czole, policzkach i w końcu – na wargach. W następnej już chwili zamykali drzwi, zjeżdżali windą i wsiadali do taksówki, której kierowca podczas jazdy bez przerwy obdarzał ich w lusterku spojrzeniem pełnym zainteresowania. Ale w Paryżu miłość była czymś tak dobrze znanym i aprobowanym, że Briona w najmniejszym stopniu nie czuła się zawstydzona tym, iż wtula twarz w pierś ukochanego, a jego ręka mocno ją przygarnia. Zatrzymali się przed wejściem do hotelu. Paul zapytał niepewnie: – Kiedy zobaczysz się znowu z Matthew, to...? – Widać było, że nie może znaleźć odpowiedniego słowa.

Zakryła mu usta ręką.

– Nie bój się. Natychmiast mu powiem.

Długo patrzyli sobie w oczy, zupełnie zapomniawszy o obecności kierowcy. Wreszcie Paul przerwał milczenie.

– Zadzwoń w poniedziałek do hotelu. Czekać na telefon.

– Będę czekać – odparła. Wiedziała, że musi się zdobyć na rzecz najtrudniejszą w tej chwili na świecie: rozdzielić się z ukochanym, który w przeciwnym wypadku mógł spóźnić się na samolot. Gwałtownie otworzyła drzwi samochodu, wysiadła i stała przy krawężniku z uniesioną dłonią, aż taksówka bezpowrotnie zniknęła w dali.

Weszła do hotelu i wzięła klucz, nawet nie zauważywszy domyślnego uśmiešku recepcjonistki. Wszystko traciło znaczenie w zestawieniu z faktem, iż oto Paul z każdą chwilą oddalał się od niej coraz bardziej. Trzy długie miesiące. Jak znieść trzy przeraźliwie długie miesiące?

Szybko spakowała się, sprawdziła, czy w torebce ma paszport i bilety, a potem usiadła przy oknie. Słyszała, jak współlokatorzy zaczynają schodzić na śniadanie, ale nie ruszyła się od parapetu i dalej patrzyła na koty, które wałęsały się po parkingu w oczekiwaniu na samochody.

Pierwszy pojawił się o dziewiątej i dwa kocury wskoczyły na maskę, przez chwilę szukały najwygodniejszego miejsca, a potem zwinęły się w kłębek. Podniosła się, przewiesiła przez ramię torebkę i chwyciła za rączkę nesesera. Czekala ją trudna przeprawa, ale miłość do Paula dodawała jej sił.

Oddała klucz, uregulowała należność za hotel i powoli udała się do stacji metra. Paryska przygoda nieodwołalnie się kończyła. Teraz nastąpi antrakt, a następny akt jej życia rozpocznie się wraz z przyjazdem Paula do Londynu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy Briona dotarła do swojego pokoju na tyłach Dabell's Hotel, na kłamce zobaczyła kartkę: „Nie przeszkadzać”. Wśliznęła się cicho, delikatnie zamknęła drzwi i bezgłośnie podeszła do łóżka, na którym położyła neseser.

Podróż okazała się o wiele bardziej męcząca, niż oczekiwała. Okazało się, że z jakichś niejasnych przyczyn odpłynąć musi z Calais, nie zaś z Boulogne, gdy więc wreszcie znalazła się na pokładzie promu, czekała ją przejażdżka po bardzo wzburzonym morzu. Jakby tego było jeszcze mało, została zatrzymana przez celnika, który bardzo starannie i szczegółowo przeszukał jej bagaże.

I z każdą chwilą była coraz dalej od Paula.

Pomimo zmęczenia fizycznego nadal czuła się otoczona miłością, chroniącą ją jak kokon gąsienicę. Cichutko westchnęła i popatrzyła na włosy, których tylko czubek wychylał się spod koców. Daisy Thompson, przyjaciółka i współpracowniczka, odsypiała pewnie nocny dyżur. Pomimo znużenia, jej samej nie chciało się spać: zanim będzie mogła spokojnie oddać się swemu szczęściu, miała do spełnienia jeszcze jeden trudny obowiązek. Musiała porozmawiać z Matthew i wytłumaczyć mu wszystko.

Mimochodem zerknęła na fotografię narzeczonego zrobioną tuż przed wyjazdem do Stanów. Miła, pogodna twarz: szczerze niebieskie oczy, wrażliwe usta, jasne włosy starannie zaczesane do tyłu.

Jakże inny od Paula...

Znowu powróciły wyrzuty sumienia, natychmiast jednak wyciszone przez uczucie miłości. Wieczorem przylatywał Matthew. Natychmiast o wszystkim mu powie. Za żadne skarby świata nie mogła ani o chwilę opóźnić tego wyznania.

Wstała i po cichu zaczęła rozpakowywać torbę podróżną. Najlepiej było nie pograżać się w myślach, lecz zająć się czymś, a jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiła, było przesłonięcie podobizny Matthew zdjęciem przywiezionym z Paryża.

Zastygła wpatrzona w fotografię, gdyż natychmiast odżyły wspomnienia słonecznego dnia na Sekwanie, śmiechów, uścisku ukochanego mężczyzny. Znowu znalazła się w innym świecie, otworzonym przed nią przez Paula, który rzeczywistość zamieniał w sen, a sen w rzeczywistość. Jak bardzo go kochała...

Dopiero teraz spostrzegła kartkę na poduszce. Z uśmiechem sięgnęła po nią, pewna, że to liścik powitalny od Daisy. Ale już po chwili przestała się uśmiechać, a palce kurczowo zacisnęły się na arkusiku papieru. Krew zastygła jej w żyłach.

„Przykro mi, że muszę ci przekazać smutną wiadomość – pisała Daisy. – Matthew poważnie chory leży w szpitalu. Udało mu się złapać wcześniejszy

samolot, ale wczoraj wieczór, zaraz po przyjeździe miał jakiś atak. Dzwoniła siostra oddziałowa prosząc, ażebyś jak najszybciej skontaktowała się z nimi.”

U dołu kartki starannie wypisany był adres szpitala i telefon.

Briona sięgnęła po torebkę i na powrót umieściła w niej zdjęcie z Paryża, świadectwo tego, jak szczęśliwa była z Paulem. Potem zeszła na dół i prawie natychmiast złapała taksówkę. Czuła się jak ogłuszona. Ciągle nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje i niby w półśnie dała się poprowadzić do poczekalni przez pielęgniarkę, która poszła następnie poszukać lekarza opiekującego się Matthew.

Wkrótce się zjawiał, opanowany, uprzejmy mężczyzna pod czterdziestkę. Rzucił tylko okiem na Brionę i kazał siostrze przynieść herbatę. Czekał na pielęgniarkę, wymienili kilka obojętnych uwag. Dziewczyna nie potrafiła zadać najważniejszego teraz pytania.

Lekarz sam zaczął mówić o stanie Matthew, ona zaś popijała herbatę i czuła się tak, jakby słuchała opowieści dotyczącej kogoś zupełnie obcego. Po raz pierwszy zareagowała dopiero na słowa: „Jutro będziemy go operować”.

– W niedzielę? – powiedziała z niedowierzaniem, co nie było z pewnością najmądrzejszym pytaniem, ale nic innego nie przyszło jej do głowy.

– Guz rośnie tak szybko, że wszystko odbyłoby się już dzisiaj, ale pacjent nie wyraził zgody, gdyż najpierw chciał zobaczyć się z panią. To dlatego nie operowano go w Stanach, zaraz po wykryciu choroby.

– O Boże – szepnęła Briona – gdybym tylko wiedziała, przyjechałabym do niego!

Nie wiedziała jednak i pojechała do Paryża, a tam zakochała się w Paulu. Przypomniała jej się noc pełna namiętności, ale tym razem był to obraz bolesny aż do szpiku kości. Paul oddalał się od niej coraz bardziej i w żaden sposób nie potrafiła temu zapobiec.

– Chciał znaleźć się w domu – powiedział cicho doktor. – Ludzie, którzy czują zbliżającą się śmierć, często tak postępują.

...Śmierć? Śmierć i Matthew, taki łagodny, taki miły?

– Ale przecież on nie umrze, prawda? Są jakieś szanse, jakieś... – Zabrakło jej słów. Ciągle nie potrafiła uzmysłwić sobie tego, że Matthew – dzielny, nieustępliwy Matthew – ma guza mózgu.

– Były spore szanse, gdyby skontaktował się z lekarzem, kiedy tylko zauważył, że coś nie jest w porządku, ale to bardzo ambitny chłopak. Za wszelką cenę chciał zrobić doktorat, a potem wrócić i poślubić panią. Myślał, że będzie jeszcze czas na leczenie.

– A jak jest teraz?

– Nie będę przed panią kłamał. Pani chyba wie, że z jego zdrowiem nie było najlepiej.

– Opowiadał mi, że w dzieciństwie przechodził jakąś chorobę nerek –

bąknęła – ale byłam pewna, że wszystko minęło bez śladu.

– Niestety nie. Jedną nerkę miał od tamtej pory zupełnie niesprawną, a druga była uszkodzona. W ogóle nie ryzykowalibyśmy operacji, gdyby nie to, że w przeciwnym wypadku śmierć jest pewna.

– Ale czemu... – zaszlochała Briona – czemu nigdy nic mi nie powiedział?

– Młodzi ludzie mają swoją dumę. Chcą się wydawać równie sprawni i męscy jak ich rówieśnicy.

– Ale byliśmy ze sobą tak blisko! – wybuchnęła i pojęła, że zabrzmiało to jak oskarżenie, w ślad za którym natychmiast przyszła refleksja, jakie trudne to wszystko musiało być dla niego. Po chwili milczenia odezwała się:

– Przepraszam, zapomniałam, jak się pan nazywa.

– Nic nie szkodzi. Preston.

– Jest pan chirurgiem? – zapytała, a kiedy skinął głową, ciągnęła: – Dobrze, panie doktorze, czy mogę w czymkolwiek pomóc?

Popatrzył na nią przeciągle, potem na chwilę spuścił wzrok, aż wreszcie powiedział:

– Będę szczery. Obok ściśle medycznej pomocy, rzeczą najważniejszą jest wola życia pacjenta, a ta związana jest z panią. Chciałby natychmiast panią poślubić, a my jeszcze przed pani przyjazdem na wszelki wypadek wszystko przygotowaliśmy i ksiądz czeka tylko na wezwanie. Wyobrażam sobie, że inny ślub pani sobie wymarzyła, z welonem i w powodzi kwiatów, ale...

Zapadła głucha cisza. Potem Briona posłyszała swój głos:

– Oczywiście, trzeba to zrobić jak najszybciej.

Doktor Preston delikatnie dotknął ramienia dziewczyny, ale nie mogło to usunąć jej bólu. Ślub oznaczał porzucenie Paula, a tego przecież nie mogła uczynić. Kiedy Matthew już wydobrzeję, wytłumaczy mu, dlaczego nie może być naprawdę jego żoną. Opowie też wszystko Paulowi, który na pewno zrozumie.

Obydwaj ją rozumieją, musiała w to wierzyć. To nieprawda, że zawsze jest jakiś wybór. Nie tym razem, nie dla niej.

– Siostra zaprowadzi panią do Matthew – powiedział Preston, podnosząc się z kozetki.

Rozmowa, która wstrząsnęła całym jej życiem, była skończona. Briona wstała automatycznie. Ach, gdyby tylko mogła zadzwonić do Paula i powiadomić go o tym, co się wydarzyło. Nie miała nawet pojęcia, gdzie może być w tej chwili.

Lekarz przypatrywał się jej uważnie.

– Musi być pani bardzo odważna, Briono, i wszystkie swoje lęki zachować dla siebie. Matthew powinien panią ujrzeć radosną i uśmiechniętą. Musi pani umocnić w nim przekonanie, że ma po co żyć. Myślę, że wiem, co

pani czuje, ale on jest w tej chwili najważniejszy.

Pokiwała głową, choć doktor Preston absolutnie nie wiedział, co w tej chwili czuła. Nie wiedział tego nikt na całym świecie. Nawet Paul.

Paul, załkała bezgłośnie, gdzie jesteś, kochany?

Niemniej, kiedy wchodziła do separatu, w której leżał Matthew, była już pogodna i rozpromieniona. Jej dawny narzeczony niewiele się zmienił, może tylko schudł odrobinę, ale zawsze był szczupły.

W jednej chwili przemknęło jej przez głowę, ile mu zawdzięcza: pełne troskliwości dni i tygodnie, kiedy nie mogła liczyć na niczyją pomoc... pewność siebie, jaką poczuła dzięki jego miłości... przewyciężenie samotności...

– Cześć, nicponiu – powiedziała od progu. – Jeśli myślałeś, że w ten sposób wykręcisz się od ślubu ze mną, to bardzo się myliłeś.

Twarz Matthew rozjaśniła się w pełnym szczęścia uśmiechu. Briona wtuliła się w jego rozłożone ramiona, a z oczu popłynęły jej łzy. Płakała nad Matthew i nad samą sobą. Zarazem jakiś głos powtarzał jej, że nie może opłakiwać Paula. Pod zaciśniętymi powiekami widziała jego stanowczą twarz. Nic nie zabije w niej tego obrazu. Podobnie jak miłości. Tego była pewna.

Godzinę później byli już małżeństwem. Lekarze i siostry zrobili wszystko, by skromna ceremonia odbyła się jak najuroczyściej. Nikt nawet nie przypuszczał, że Briona spogląda na złotą obrączkę, jak gdyby oglądała obcą ozdobę na cudzym palcu. Rzeczywistość zastawiła na nią okrutną pułapkę. Ziemia obojętnie biegła po swoim torze wokół Słońca. Ludzie oddawali się swoim codziennym zajęciom. Gdzieś daleko był Paul, któremu nawet do głowy z pewnością nie przyszło, iż oto ona jest już żoną innego mężczyzny. Wiedzano o tym w hotelu, gdzie zadzwoniła i poprosiła o kilka dni okolicznościowego urlopu, usilnie też nalegając, by odnotowano wszystkie telefony, które do niej będą, a zwłaszcza od jednej konkretnej osoby. Musiało to zabrzmieć dziwnie. Była oto teraz panią Brioną Hammond, a tak bardzo zależało jej na wieści od pana Paula Deverilla.

Całą noc przesiedziała przy łóżku Matthew, a on snuł plany na przyszłość. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że już niedługo będzie mógł wrócić do swoich zajęć, i także ona nie mogła ich mieć. Nie chodziło tylko o powinność, sama także tego pragnęła. Żarliwie chciała, żeby przeżył operację i żył dalej. W jakimś sensie dalej go kochała.

Czy Paul będzie potrafił i chciał ją zrozumieć? Czy rzeczywiście okazała się tak lojalna, jak tego po niej oczekiwał? Trzymała rękę Matthew, bardzo starała się udawać miłość, na którą tak Uczył i na którą tak zasłużył, ale w głębi duszy coraz bardziej czuła się zdrączynią: Matthew, Paula i siebie samej.

Z rana, kiedy padająca z senności i zmęczenia z rozpaczą myślała, że może nie potrafiła wlać w jego serce dostatecznej otuchy, posłyszała przy swoim uchu głos siostry, razem z nią spoglądającej na łóżko wiezione już do sali

operacyjnej:

– Wspaniale! Teraz jest pełen nadziei i chęci życia, a to najważniejsze.

Powoli osunęła się na fotel. Siedziała tak bez ruchu przez jakiś czas, a potem bezwiednie wyciągnęła z torebki zdjęcie, na którym wesoło przekomarzali się z Paulem. Po chwili jednak odłożyła fotografię na miejsce. Nazywała się teraz Briona Hammond, a jej mąż walczył o życie pod skalpelem chirurga.

Matthew przeżył operację, a Brionie pozwolono zostać na Oddziale Intensywnej Terapii. Wydawało jej się, że gdzieś na końcu długiego tunelu zaczyna dostrzegać światelko. To potrwa kilka, może kilkanaście tygodni, ale potem Matthew będzie na tyle silny, że wysłucha wyjaśnień, dlaczego musiała wziąć z nim ślub, ale nie może być jego żoną.

Matthew pozwoli jej odejść, a Paul będzie musiał odrobinę poczekać. Poczula nagły przypływ paniki, gdyż Paul nie był wzorem cierpliwości, ale już w następnej chwili nadeszła uspokajająca myśl, że przecież się zmienił przez tych kilka dni: kochał ją, a miłość potrafi zrodzić bardzo wiele cierpliwości, jeśli trzeba.

Przeszła niedzielna noc, a w poniedziałek, ilekroć Matthew budził się, widział przy sobie Brionę, z oczyma podkrążonymi wprawdzie ze zmęczenia, ale nieprzerwanie czuwającą i przemawiającą do niego czule i radośnie. Trzymała dłoń swego męża-niemęża i ze wszystkich sił starała się nie myśleć o tym, że to dziś Paul zadzwoni, będzie wypytywał o nią, a potem rozczarowany jej nieobecnością odłoży słuchawkę.

Na razie najważniejsze było to, że z każdą godziną szanse Matthew rosły.

Matthew zmarł we wtorek nad ranem, co całkowicie zaskoczyło Brionę. Gdzieś w głębi duszy była przygotowana na takie zdarzenie w niedzielę, w poniedziałek, ale nie teraz, kiedy uznała, że najgorsze jest już za nimi.

Doznała szoku i niewiele wiedziała o tym, jak podawano jej środki uspokajające i kładziono do łóżka. Przyszła trochę do siebie dopiero w środę i postanowiła natychmiast wracać do hotelu. To był teraz jej jedyny dom, w którym na dodatek czekała na nią wiadomość od Paula. Boże, jak straszliwie brakowało jej teraz jego siły i niezłomności!

Była mało znaczącą pracowniczką Dabell's, dyrektor jednak potraktował ją z ogromną wyrozumiałością, proponując dłuższy wypoczynek. Praca była najlepszym lekarstwem, pamiętała, co o tym mówili Paul i Chantal. Chciała natychmiast wracać do recepcji i tylko w poniedziałek musiała mieć wolne z uwagi na pogrzeb.

Pan Mathers, który zarządzał hotelem od ponad trzydziestu lat, przypatrzył jej się z uwagą.

– Cóż, sama pani wie, co dla pani najlepsze, pani Hammond. Nie będę ukrywał, co zresztą nie jest tajemnicą, że mamy kłopoty z personelem, z drugiej

jednak strony może pani w tej sytuacji liczyć na naszą jak najdalej idącą życzliwość.

Podziękowała i pognąła do pokoju. Jej przyjaciółka spała, Briona na palcach podbiegła do łóżka. Przecież na poduszce powinna na nią czekać wiadomość. Nie było jej jednak ani na wierzchu, ani pod poduszką; najwidoczniej spoczywała w jej przegrodce w recepcji.

Pospiesznie przebrała się w hotelowy uniform – kremowa bluzka i brązowa spódniczka – a następnie drżącymi palcami rozczesała włosy, dobrze pamiętając, że Paul lubił, gdy tak właśnie luźno spływały na plecy. Myśl o Paulu dodała jej sił.

Neseser spoczywał już w szafie, albowiem Daisy rozpakowała jej rzeczy i ułożyła na półkach. Łzy zakręciły się pod powiekami, kiedy pomyślała, jak wszyscy są dla niej mili.

Otarła oczy i wzięła ze stolika fotografię Matthew. Zapatrzyła się w drogą jej twarz, która trwała już tylko na zdjęciu. A potem stanowczym ruchem schowała portret do szuflady, czego nie zrozumiałby nikt, włącznie z Daisy, która była jej najbliższą przyjaciółką. Ale też ani Daisy, ani nikt inny nie słyszał ostatnich słów Matthew przed operacją: „Musisz mi przyrzec, że cokolwiek się zdarzy, będziesz szczęśliwa. Mogę znieść wszystko z wyjątkiem twego smutku”.

Przyrzekła, czując się przygnieciona siłą jego uczucia i własną nieojalnością. Dopiero później, podczas długich godzin szpitalnego czuwania zdała sobie sprawę z tego, że miłość jest potęgą, nad którą człowiek nie ma władzy, i nikt – ani Paul, ani Matthew, ani ona – nie jest odpowiedzialny za to, kogo kocha, gdyż płomień ten ogarnia ludzi bez pytania ich o zgodę. Wraz z tą myślą zelżał też ciężar winy, zupełnie jak gdyby ktoś udzielił jej rozgrzeszenia.

Pełna niecierpliwości zbiegła na parter. Życzliwy uśmiech nie mógł pokryć ulgi Bryana Stocktona, który miał ją zastąpić w razie niedyspozycji. Chwileczkę odczekała, aż jej oddech się uspokoi, a potem zapytała:

– Są dla mnie jakieś wiadomości?

– Nie – odparł Bryan. – A miały być?

O mały włos nie krzyknęła na całe gardło „Tak, tak, tak!”, ale wbiwszy paznokcie w skórę zdołała zapanować nad sobą. Z obojętnością, która kosztowała ją bardzo wiele, powiedziała:

– Myślałam, że może ktoś do mnie dzwonił.

– Nikt – jeszcze raz zaprzeczył Bryan. – Czekasz na jakiś telefon?

– Nie, nie – skłamała. – Tak tylko zapytałam.

– Słuchaj, jeśli... – zaczął Stockton, ale przerwawszy zdanie w połowie, rzucił po chwili: – Gdybyś czegoś potrzebowała, to jestem u siebie. – A potem odszedł, pozostawiając ją sam na sam z jej myślami.

Powoli udało się jej zapanować nad sobą. Oczywiście, że Paul nie

zostawił żadnej wiadomości, bo przecież chce porozmawiać z nią samą. Już za chwilę zadzwoni telefon, w słuchawce zabrzmiał kochany głos, a cały rozkołysany świat się usatkuje.

Chociaż jednak telefon terkotał co chwila, ciągle nie był to Paul. Powtarzała sobie uparcie, że widocznie nie ma dostępu do telefonu albo są kłopoty z połączeniem. Znalazła tysiące wiarygodnych wytłumaczeń jego milczenia i była gotowa uwierzyć we wszystkie naraz, byleby wreszcie się odezwał.

Mimo że do pełni sezonu brakowało jeszcze trochę czasu, hotel był niemal pełny z racji wielkiej wystawy w British Museum i Briona miała moc pracy.

Kiedy Daisy zjawiała się na swój dyżur, przyjaciółka poruszała się niemal jak automat – Briona, czyś ty oszalała?! – wykrzyknęła. – Przecież ustaliliśmy już, kto i kiedy będzie cię zastępował...

– Przestań, proszę – przerwała jej Briona. – I błagam, ani słowa o Matthew.

– Tak, kochanie, oczywiście, ale... – Daisy zawahała się. – Czy mogę ci jakoś pomóc? Ktokolwiek z nas?

Briona wolno pokręciła głową.

– Nie, ani ty, ani nikt inny tego nie zrozumie. Może kiedyś ci wyjaśnię.

Przyjaciółka popatrzyła na nią uważnie, a potem rzekła:

– Jeśli tylko będziesz chciała, zawsze jestem gotowa ci pomóc.

Briona przez chwilę zmagala się z sobą, a potem wykrztusiła:

– Jeszcze jedno, Daisy. Czy w ciągu tych ostatnich dni nie dzwonił nikt do mnie?

– Z pewnością nie wtedy, kiedy pełniłam dyżur. Ale i tak przecież każdy, kto byłby wtedy w recepcji, zostawiłby informację, a z całą pewnością żadnej nie było.

Briona poczuła, jak do jej serca zakrada się straszliwy mróz podejrzania. A może Paul wcale nie usiłował się z nią skontaktować? Z trudem przełknęła ślinę i bez powodzenia usiłując się uśmiechnąć, powiedziała:

– Gdyby teraz ktoś chciał ze mną rozmawiać, to daj mi znać, obojętnie która będzie godzina.

Daisy zerknęła na nią z troską.

– Na miłość boską, przecież ty ledwie trzymasz się na nogach ze zmęczenia. Musisz się wyspać.

– Proszę cię! – Briona straciła kontrolę nad swym głosem, który rozbrzmiał po całym holu. Speszona odwróciła się na pięcie i pobiegła na górę.

W pokoju zdała sobie sprawę z tego, że dygocze jak w gorączce. Skuliła się w wiklinowym fotelu, który kupiły kiedyś razem z Daisy na pchlim targu, i starała się zapanować nad dreszczami i rosnącym przerażeniem.

Zbyt wiele ciosów spadło na nią w krótkim czasie, by mogła znieść następny, i to tak potężny. Paul obiecał – obiecał! obiecał! – że zadzwoni w poniedziałek, a tymczasem była już środa i ani znaku życia od niego. Wszystkie usprawiedliwienia, których takie krocie nawymyślała podczas dyżuru, nagle okazały się żalodne. Przypomniała sobie jego stanowczość i zaradność; gdyby rzeczywiście chciał zadzwonić, na pewno by to zrobił, jeśli już nawet nie w poniedziałek, to we wtorek, a z pewnością w środę.

Kołysała się monotonicznie jak w jakiejś osobliwej modlitwie i powoli rozpacz zaczęła przycichać. Przypomniała sobie momenty, kiedy byli blisko, najbliżej... coraz wyższe fale miłostnego uniesienia, które wynosiły ich aż do gwiazd. Ta miłość dawała schronienie. Wiedziała to wówczas i jakoś przedziwnie znowu zaczęła być tego pewna teraz.

Zadzwoni dzisiaj. Zmusi go palące pragnienie usłyszenia jej głosu, pragnienie, które ją niemal rozrywało od wewnątrz. Zadzwoni, gdy tylko będzie mógł.

Trochę już spokojniejsza, Briona przebrała się w codzienny strój, żeby natychmiast móc zbiec do recepcji, kiedy Daisy da jej sygnał brzęczykiem, i znowu zasiadła w fotelu. Wtedy dopiero poczuła całe znużenie ostatnich dni. Przez chwilę walczyła ze sobą, aż wreszcie przemknęła na łóżko, przykrywając się kocem. Tylko na chwilę, żeby odrobinę rozprostować kości, pomyślała wpatrzona w paryskie zdjęcie, które trzymała w dłoni. Było jej jedyną pamiątką po Paulu i za żadne skarby nie rozstałaby się z nim. A potem powieki stały się tak ciężkie, iż w żaden sposób nie dało się powstrzymać ich opadania...

Tak właśnie, śpiącą w ubraniu, z włosami rozrzuconymi na poduszce, znalazła ją Daisy, kiedy wróciła wczesnym rankiem z dyżuru. Przez kilka sekund patrzyła ze współczuciem na przyjaciółkę, a potem podciągnęła jej koc pod brodę. Wtedy dostrzegła też fotografię, która wysunęła się z ręki Briony i leżała przy łóżku. Daisy nachyliła się, wygładziła zgniecione nieco zdjęcie i przyjrzała mu się uważnie.

Nie знаła mężczyzny, który towarzyszył Brionie, ale dziewczyna wyglądała na taką szczęśliwą i promienną. Odkładając błyszczący kartonik na blat stolika Daisy spostrzegła, że nie ma na nim podobizny Matthew. Dziwne.

W tym właśnie momencie Briona drgnęła i otworzyła półprzytomne oczy, a widząc nad sobą twarz koleżanki, chwyciła ją gwałtownie za rękę.

– Dzwoni? Teraz? Na dole?

– Kochanie – Daisy ciężko usiadła obok przyjaciółki – kochanie, to tylko sen. Matthew już nigdy nie zadzwoni... on... on...

– Nie Matthew, Paul. Przecież prosiłam cię, żebyś mnie obudziła, kiedy zatelefonuje, prosiłam!

– Paul? – powtórzyła zdumiona Daisy. – A kto to taki? Ale nic, nie martw się, nikt nie dzwonił.

Wargi Briony zaczęły drżeć, oczy napęłniły się łzami i dziewczyna gwałtownie odwróciła się do ściany. Koleżanka delikatnie pogładziła ją po ramieniu.

– Poleż spokojnie, a ja wezwę lekarza. Trudno się dziwić, taki straszny cios...

– Nie chcę żadnego lekarza! – krzyknęła histerycznie Briona. – Gdzie moje zdjęcie?!

– O to ci chodzi? – zapytała Daisy i pospiesznie sięgnęła na stolik.

Briona chwyciła fotografię i usiadła na łóżku. Wpatrzyła się w pamiątkę minionego szczęścia, a potem z bolesnym grymasem na twarzy spojrzała na przyjaciółkę.

– Och, Daisy, wszystko jest takie brudne, takie ohydne... Daisy przygarnęła szlochająca Brionę, zaczęła lekko kołysać ją w ramionach i powoli wydobyła z niej całą opowieść.

– No cóż – powiedziała na koniec – zawsze uważałam, że zbyt wcześnie zdecydowałam się pozostać już na zawsze z jednym mężczyzną. Nie możesz siebie obwiniać za to, co się stało. To było nieuchronne.

– Tak właśnie sobie mówiłam – wyszeptała Briona. – Łudziłam się, że usprawiedliwieniem dla wszystkiego jest nasza miłość. A tymczasem on nie zadzwonił, chociaż obiecywał!

Sheena cię ostrzegła, powiedział jakiś szydarczy wewnętrzny głos. „Paul to wieczny myśliwy; mało go interesują zdobyte już trofea”... Przymknęła oczy. Przez ostatnie kilka dni widziała, jak cały świat wali się dokoła niej, i jedynym oparciem był Paul. Jedynym...

– Ponieważ nie padłam przed nim od razu na kolana, potraktował to jako wyzwanie – powiedziała bardzo cicho. – Ponieważ należałam do kogo innego, chciał, bym na chwilę stała się jego własnością.

– To tylko przypuszczenia, prawda? A wtedy czułaś, że na pewno cię kocha; trzymaj się tej pewności.

Briona poczuła, jak opanowanie i życzliwość koleżanki zaczynają się jej udzielać. Sięgnęła do pudełka z chusteczkami i wytarła nos. Płacz był jej potrzebny; tyle smutków nazbierało się przez ostatnie dni w jej duszy jak zwęglone drewno.

– Może rzeczywiście nie mógł znaleźć sposobu, żeby skontaktować się z tobą; może jakaś powódź albo zamieszki, może tam, gdzie jest, wprowadzono stan wojenny? Ale w agencji muszą wiedzieć, jak można się z nim skontaktować w ciągu najbliższych dni. Czemu do nich nie zadzwonisz?

– Nie! – Briona poczuła, że wraca jej wiara w Paula i w jego miłość. – Paul kilka razy powtarzał, iż muszę mu zaufać. Przy takiej pracy jak jego co za pożytek z rozhisteryzowanego dziewczątka, ścigającego go telefonami po całym świecie.

– Ja na twoim miejscu zadzwoniłabym – sucho oświadczyła Daisy. – Być może są jakieś ważne powody, ale fakt jest faktem, że odezwać miał się w poniedziałek, a dzisiaj jest już, chwalić Boga, czwartek.

– Nie – stanowczo powiedziała Briona. – Moje załamanie jest reakcją na to, co stało się ze mną i Matthew, a nie na brak telefonu od Paula. Dobrze wiedziałam, co robię, zdradzając narzeczonego. Gdyby dowiedział się, obojętne, wcześniej czy później, straszliwie by cierpiał. I to ja muszę nauczyć się żyć z tą myślą, a nie Paul. Sama podejmowałam decyzję. – Odrzuciła koc i spuściła nogi na podłogę. – Właśnie zaczynam się uczyć. Kocham Paula, a on kocha mnie. I na pewno zadzwoni, wiem o tym! Teraz pora na prysznic. Za godzinę zaczyna się mój dyżur.

– Ależ Briono, chyba nie zamierzasz dzisiaj pracować?

– A co mam robić innego? Siedzieć tutaj na łóżku i chlipać?

I wróciła do rutyny codziennych zajęć hotelowych, w każdej chwili oczekując znaku od ukochanego. Tak minął czwartek i piątek, potem wolno przesunęła się sobota i niedziela. Godzina za godziną, dzień za dniem nadzieja wiodła. W poniedziałek odbył się pogrzeb Matthew i Daisy pojechała z Brioną na cmentarz. Przez cały czas ceremonii czuła się tak, jakby żegnała na zawsze starego przyjaciela, ale nie męża. Kilkakrotnie ze zdumieniem spostrzegła obrączkę na lewej dłoni. Ciałem i duszą była żoną Paula. Ale czy Paul myślał jeszcze o tym ciele i tej duszy?

Kiedy znalazły się z powrotem w Dabell's Hotel, Daisy nie wytrzymała.

– Na miłość boską, zadzwońże do tej agencji, dowiedz się, gdzie teraz jest i dlaczego się nie odzywa. Jeszcze chwila i nic z ciebie nie zostanie.

– W godzinę po pogrzebie Matthew? To nie w porządku.

– Dopóki żył, zrobiłaś dla niego wszystko, co mogłaś. Ale Matthew już odszedł, a ty zostałaś. I gdzieś tam jest Paul. Odszukaj go i wracaj do życia!

Briona spojrzała na swoje ręce, nerwowo splatające się i rozplatające. Wzięła torebkę i zeszła do automatu. Szybko odszukała numer agencji.

Połączyła się bez trudu. Pan Paul Deverill, dowiedziała się, dotarł do biura w Hongkongu już w niedzielę i pozostawał w stałym kontakcie z centralą. Miała wrażenie, że to jakaś inna, obca ręka zapisuje numer w Hongkongu. Potem długo stała zapatrzona w kartkę papieru. Wreszcie wolno pokręciła głową i zmiała notatkę. Nie będzie dzwonić. Wołała nie słyszeć głośniego potwierdzenia tego, co już i tak wiedziała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nieruchomą, zatopioną w myślach odnalazła ją Daisy.

– Briono, przepadłaś na całe wieki. Czemu tak stoisz? Nie możesz dodzwonić się do agencji?

– Dodzwoniłam się. Paul jest w Hongkongu, i to od niedzieli. Nie ma żadnych kłopotów z kontaktem.

Spojrzały sobie w oczy i najwyraźniej pomyślały o tym samym. Tyle dni, tyle możliwości...

– No cóż, wygląda to nieciekawie, prawda – powiedziała Briona, a na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. – Mam numer jego telefonu w Hongkongu, ale nie będę dzwoniła. Wszystko się skończyło i trzeba się z tym pogodzić.

– O nie, moja droga. Tak czy owak, musisz coś wiedzieć na pewno. Chociaż tyle ci się należy.

Daisy rozgięła ściśniętą dłoń Briony, rozprostowała kartkę, wrzuciła monety, wystukała numer i czekała.

– W Hongkongu jest o osiem godzin wcześniej niż u nas. Wszyscy tam śpią – powiedziała bezradnie Briona.

– Przecież to agencja informacyjna, tak? Tam się nie robi przerw na drzemkę – odpowiedziała z pasją Daisy i już po chwili oddała słuchawkę przyjaciółce. – Masz, odszukaj go i zapytaj, co się dzieje.

Szamocząc się między rezygnacją a nadzieją, Briona powiedziała do mikrofonu:

– Czy mogłabym rozmawiać z panem Paulem Deverillem?

– Skończył już dziś pracę – odezwał się niecierpliwy kobiecy głos. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Nie... – odrzekła Briona, gotowa już odłożyć słuchawkę, ale zaraz przemogła się; Daisy miała rację, musiała coś wiedzieć na pewno. – A czy może podał numer, pod którym mogłaby się z nim skontaktować Briona Spenser? – Nazywała się teraz Hammond, ale Paul, oczywiście, nic o tym nie wiedział.

– Nie zostawiał numeru dla nikogo – padła lakoniczna odpowiedź. – Czy mam mu przekazać jakąś wiadomość?

Briona pokręciła głową i bez słowa zaczęła odkładać słuchawkę, ale Daisy uprzedziła ją i zdążyła jeszcze zapytać:

– A o której pan Deverill będzie znowu w pracy?

– Jutro o dziewiątej.

– Dziękuję. – Daisy spojrzała na Brionę. – Słyszałaś? Tamta pokiwała głową.

– Tak. Zadzwoń do niego jutro.

To śmieszne, ale cieszyła się, że pozostają jeszcze jakieś żalodne resztki nadziei, które pozwolą przetrwać noc. Niewiele jednak pomogły. Bezsennie przewracała się w łóżku, przypominając sobie każde słowo Paula, każdy jego gest i wszystko od nowa rozważając. Nigdy w istocie nie zaproponował jej małżeństwa, powiedział tylko, że pojedą razem do Nowego Jorku; do niczego więcej się nie zobowiązywał. W nocnym mroku, na łóżku zbyt wąskim dla kogoś, kto nie może zasnąć, Briona dochodziła do wniosku, że w ten sposób jej kochanek przygotowywał już sobie drogę odwrotu. Niemal jak żywą zobaczyła Sheenę, która spoglądała na nią z drwiącym uśmiechem.

Ale uczucia nie chciały dać za wygraną; posępnym myśłem przeciwstawiały się podszepty intuicji, że Paul naprawdę ją kochał i kocha, tak jak ona jego. Ta huśtawka nastrojów tak ją wymęczyła, że kiedy rano wstawała, miała już w głowie tylko jedną myśl: dowiedzieć się nareszcie, jak jest naprawdę. Zadzwoiła przed rozpoczęciem dyżuru. W Hongkongu było teraz wczesne popołudnie. Zapytała o Paula i niemal natychmiast usłyszała jego głos tak wyraźny i mocny, jakby mówił z pokoju hotelowego.

– Deverill!

Ogarnęła ją taka radość, że przez moment nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Paul! – wykrztusiła wreszcie. – Paul, tu Briona! Zapadła cisza tak głęboka, że kobieta wyraźnie słyszała bicie swego serca. Dlaczego nic nie odpowiada?

– Paul – rzuciła do słuchawki głosem, w którym żarliwość zmieszana była z rozpaczą – musimy porozmawiać.

– Tak sądzisz? – padła chłodna, beznamiętna odpowiedź. Nie mogła uwierzyć swoim uszom!

– Przecież wiesz! Musimy!

Paul Deverill bez słowa się rozłączył.

Uporczywe buczenie wierciło w uszach, przenikało ją całą, a mimo to nie była w stanie odłożyć słuchawki. Wiedziała, że kiedy to zrobi, raz na zawsze pożegna się z Paulem. Stała więc tak ze słuchawką w uniesionej ręce, ściskając ją niczym linę ratunkową. W końcu zjawiała się jedna z pokojówek, znacząco potrząsając monetami w kieszeni. Odczekała kilka chwil, aż w końcu odezwała się z lekkim zniecierpliwieniem w głosie:

– Skończyłaś już rozmawiać?

– Ach tak, przepraszam – odrzekła Briona, sama zdumiona normalnym brzmieniem swego głosu.

Zacząła teraz żyć w osobliwym świecie, w którym czas płynął w zwolnionym rytmie, niespiesznie odmierzając sekundy, godziny i dni. Jak mogła unikała Daisy. Żałowała, iż powiedziała jej cokolwiek o Paulu. Teraz nie chciała dzielić swego wstydu i żalu z nikim. Nic już nie można było zmienić, a jeśli

pisane jej było cierpienie, wołała cierpieć w samotności.

Wszyscy inni znajomi byli pewni, że oplakuje Matthew, co w pewnym sensie było prawdą. Myślała o nim ze wzruszeniem i wielkim smutkiem, choć nigdy nie potrafił nią tak wstrząsnąć jak pewien człowiek w Paryżu.

Na podstawie jej codziennych zachowań nikt nie potrafiłby odgadnąć, że powoli rozpada się wewnątrz i katastrofa jest tylko kwestią czasu. Ona wprawdzie dobrze o tym wiedziała, ale zupełnie nie przejmowała się tą perspektywą.

W nocy uciekała w wyśnioną rzeczywistość, gdzie ciągle pozostawała z Paulem, a przyszłość była promienną obietnicą. W dzień z roztargnieniem myślała o tym, iż powinna zacząć rozglądać się za pracą i jakimś lokum, gdyż kontrakt podpisany z Dabell's dobiegał końca. Daisy znalazła posadę kierowniczkę recepcji w dużym hotelu nad kanałem. Wyraźnie starała się maskować swą radość przed Brioną, aż wreszcie ta powiedziała kiedyś niecierpliwie:

– Nie naśladowuj mojej grobowej miny! Zresztą i mnie niedługo to minie. Okazałam się idiotką, ale nie zostanę nią do końca życia.

– Pozbierasz się z tego? – zapytała niepewnie Daisy.

– Oczywiście – odparła Briona z takim przekonaniem, że sama gotowa była sobie uwierzyć.

– A... a Matthew?

– Jakoś doszłam do ładu z tą myślą. W tej konkretnej sytuacji wszyscy starali się zrobić wszystko, co było w ich mocy. A cóż poradzić na to, że świat nie jest doskonały?

Daisy nieśmiało pogładziła ją po twarzy.

– Na pewno już niedługo spotka cię coś radosnego. Zasłużyłaś sobie na to jak nikt inny na świecie.

Przepowiednia spełniła się jeszcze tego popołudnia. Wezwał ją do siebie dyrektor hotelu, Mathers, a choć dawniej zareagowałaby na to strachem, teraz zupełnie się nie przejęła, być może dlatego, iż dobrze wiedziała, że nic i nikt nie jest w stanie zranić jej tak głęboko, jak zrobił to Paul.

– Proszę, proszę, pani Hammond – usłyszała od progę. Pani Hammond... Wszyscy tak się do niej teraz zwracali, a przecież wydawało jej się to równie nierzeczywiste jak wspomnienie Matthew, który zakłada jej na palec obrączkę.

– Bardzo gorąco panią rekomendowałem zarządzającemu naszym głównym hotelem w Mayfair. Znowu będzie pani musiała odbyć kilkutygodniową praktykę w każdym z działów, ale zacznie pani już o szczebel wyżej, a perspektywy awansu są właściwie nieograniczone.

Briona, która ledwie zdołała otrząsnąć się ze zdumienia, wyjąkała tylko:

– Dzzziękuję.

– Nie mnie, lecz sobie, moja droga. Wszyscy nasi goście i cały personel

jest o pani jak najlepszego zdania, a ja mogę tylko z najwyższym podziwem myśleć o tym, jak potrafiła pani stawić czoło tragicznemu zejściu swego małżonka.

„Tragiczne zejście małżonka”, staroświecki zwrot, godny pana Mathersa. Ciekawe, jak zareagowałby, gdyby wiedział, że przez ostatnie dni straszliwie cierpiała, ale z zupełnie innej przyczyny. Myśl tę jednak zachowała dla siebie i raz jeszcze podziękowała zwierchnikowi.

– Doprawdy, nie miejsce tu na podziękowania, bo żadna to też łaska z mojej strony – stanowczo sprzeciwił się dyrektor. – Nie myśli pani chyba, że ryzykowałbym swoją reputację, polecając kogoś, kto wzbudzałby we mnie najłżejsze choćby wątpliwości.

Przenosiny z Kensington na Mayfair pogłębiły tylko uczucie nierealności wydarzeń. Nie mogła już teraz mieszkać w hotelu, ale dzięki istotnej podwyżce śmiało mogła pozwolić sobie na wynajęcie pokoju na południowym brzegu Tamizy, w Southwark. Zmianę lokum przyjęła z zupełną obojętnością. Nawet pałac niewiele by teraz dla niej znaczył, skoro nie mogło w nim być Paula.

W nowym hotelu potraktowano ją jak początkującą praktykantkę, raz jeszcze musiała więc przechodzić przez wszystkie szczeble hotelowej codzienności, co robiła z automatyczną poprawnością, gdyż od pewnego czasu uwagę jej zaczął zaprzętać zupełnie niespodziewany problem. Oczywiście, powodem mogły być przeżycia związane ze śmiercią Matthew i wiarołomnością Paula, ale...

Na samym początku lipca ośmieliła się uwierzyć lęklwym podejrzeniom i poszła do lekarza. Nie musiała czekać długo na wyniki badań, które całkowicie odmieniły jej stosunek do przyszłości.

Nosiła w sobie dziecko Paula.

Straciła kochanka, ale wzrastało w niej jego dziecko. Przepelniła ją niebywała radość. Była to trochę niezwykła reakcja u osoby, której kariera zawodowa właśnie znalazła się w przełomowym punkcie, nic sobie jednak z tego nie robiła. Znowu miała po co żyć; poza tym teraz mogła przyznać się przed samą sobą, że jej miłość do Paula nie zmniejszyła się nawet na jotę.

A nawet zebrała się na odwagę, by poszukać z nim kontaktu. O nie, nawet przez głowę jej nie przeszło, że miałyby wymuszać na nim jakieś decyzje z racji dziecka. Specjalnie nie zastanawiała się nad pragnieniem zobaczenia ukochanego, gdyż olśniła ją wspaniałość chwili. Poza tym chyba przez cały czas głęboko wierzyła, że gdyby znaleźli okazję, by raz jeszcze spojrzeć sobie w oczy, miłość znowu zalałaby ich, jak to zdarzyło się w Paryżu.

Nie wiedziała, co działo się z Paulem od momentu ich rozstania pod paryskim hotelem; nie miała pojęcia, czy spełniły się zapowiedzi Sheeny. Rzecz jednak w tym, że teraz czuła w sobie siłę do podjęcia walki. Spojrzała na zdjęcie, przez ostatnie dni tak często dotykane, a nawet skrycie całowane, że

wydawało się znacznie starsze, niż w istocie było. Choć jednak porysowane i pogniecione, ciągle opowiadało tę samą historię, jakkolwiek z wieloma wątpliwościami: historię dwojga zakochanych. Jeszcze wyraźniej była ona przedstawiona na fotografii, którą wziął Paul. Była dziwnie przekonana, że ją zachował... i nie tylko dlatego, że jako myśliwy lubował się w trofeach.

Późnym popołudniem zadzwoniła do Hongkongu. Nie miała pojęcia, co chce powiedzieć Paulowi; myślała jedynie o tym, żeby usłyszeć jego głos, nawet gdyby miało to być owo bezosobowe „Deverill”. Tymczasem powiedziano jej, że Paul od tygodnia jest w Londynie, wcześniej niż planowano, gdyż choroba ojca zmusiła go do przejścia obowiązków szefa.

Martwiąc się o zdrowie ojca, a zarazem odczuwając dreszcz podniecenia z powodu bliskości kochanka, Briona odszukała numer telefonu londyńskiej centrali Universal Press, ale zaraz zdecydowanym ruchem zamknęła książkę. Nie potrzebne jej telefony. Pójdzie i zobaczy się z nim, teraz, natychmiast, kiedy czuje w sobie taki przyływ bojowości i odwagi. Miała dzisiaj dzień wolny, a następny dopiero za tydzień, podczas którego znowu mogłyby się pojawić Bóg wie jakie wątpliwości i lęki.

Kiedy wysiadła z taksówki na Fleet Street, zaczęła się rozglądać po oknach wysokiego budynku, aby dociec, które należą do agencji Paula. Szybko jednak zrezygnowała i lawirując pomiędzy samochodami przebiegła na drugą stronę ulicy, czując, jak braknie jej tchu, nie tyle z pośpiechu, ile z podniecenia. Była pewna, że wszystko się powiedzie. Musi tylko go zobaczyć, on zaś ujrzy ją i natychmiast wróci czarowny świat miłości...

I wtedy go dostrzegła. Podchodził do wielkich szklanych drzwi wyjściowych w towarzystwie... Sheeny! Tamta ubrana była we wzorzystą jedwabną suknię, nieco zbyt strojną na jasny letni dzień, niemniej wyglądała równie dystyngowanie jak na party u Chantal.

Briona, która już, już miała rzucić się ku Paulowi, zamarła w pół kroku. Żadna z dziennych i nocnych fantazji nie przygotowała jej na ten widok. Poczerwieniała, gdy niebieskie oczy Sheeny zmierzyły ją pogardliwie od stóp do głów, a na twarzy rywalki pojawił się pełen wyższości uśmieszek. Nagłym ruchem zarzuciła ramię na szyję Paula i ostentacyjnie pocałowała go w policzek.

Ten władczy gest ogromnie zabolął Brionę, ale teraz wpatrywała się w twarz Paula. Jej Paula. Był przystojny jak zawsze, ale odrobinę pogłębiły się zmarszczki wokół oczu i ust. To wpływ zamartwiania się o ojca, pomyślała i poczuła pragnienie, by podbiec i wygładzić te bruzdy smutku i cierpienia.

W tym momencie i on ją zobaczył. Serce zatrzepotało jej w piersi, a zęby wpiły się w dolną wargę. Zobaczyła błysk kochanych szarych oczu i była pewna, że w następnej sekundzie jej ukochany odsunie Sheenę i podskoczy ku niej, Brionie, z otwartymi rękoma. Tak tego pragnęła, że zrobiła krok do przodu, wyciągając dłonie... Och, chwilę tę tyle już razy przeżyła w marzeniach...

Tymczasem jeśli nawet w oczach Paula pojawiły się jakieś ogniki, natychmiast zgasły; jego wzrok ześlizgnął się z niej obojętnie, jakby była obcą osobą. Człowiek, który nauczył ją żyć, teraz uczył ją umierać. I tak to odczuła: komórki jej ciała zamierające, kamieniejące jedna po drugiej. Chociaż widziała wszystko jak przez mgłę, dostrzegła jeszcze, jak jego ręka oplata w pasie Sheenę i przyciąga do siebie, a usta przywierają do włosów rywalki.

Przecież ten pocałunek był przeznaczony dla niej, a nie dla jakiejś Sheeny. Poczła się zdradzona, obrabowana i upokorzona. Więcej, poczuła się naga. Paul obdarł ją z resztek dumy, która broniła ją przed srogością świata.

Po jakimś czasie ze zdziwieniem odkryła, że idzie i że trwa to już jakiś czas. Nie wiedziała, dokąd zmierza i po co, czuła jednak przemożne pragnienie, by jak najbardziej oddalić się od owej dziewczyny, którą ongiś była, a którą Paul wzgardził. Marzyła o tym, by znowu zmienić się w obojętny automat, jakim udało jej stać się na kilka niedawnych dni. Być żywą, czującą kobietą: to tak bolało.

Szła do chwili, gdy nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Rozglądając się za taksówką spostrzegła, że nie udało się do końca zabić uczuć: odczuwała teraz do Paula Deverilla nienawiść równie gorącą, jak kiedyś miłość.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Briona chciała teraz od życia tylko dwóch rzeczy: urodzić dziecko i zachować w sobie nienawiść do Paula Deverilla. Dziecko było przyszłością, nienawiść – maską, pod którą skryła się miłość. Koncentrując się na tych dwóch uczuciach, potrafiła przetrwać następne dni, choć wydawała się sobie żywym trupem.

W hotelu przeszła teraz do restauracji; w czarnej sukieneczce, białym fartuszku i białej opasce obsługiwała stoliki. Dwa tygodnie „od frontu”, usłyszała, potem dwa tygodnie w kuchni i dalej do następnych działów. Kierownicy wszystkich szczebli, aż po najwyższe, musieli bezpośrednio posmakować wszystkich prac hotelowych.

Briona posłusznie poddała się tym rygorom, choć dobrze wiedziała, że nie przejdzie całego kursu. Była wprawdzie ciągle szczupła i wiotka, ale niedługo brzuch zacznie się wyraźnie zaokrąglać; ciąża trwała już trzy i pół miesiąca.

Z wolna zaczęło się w niej formować pewne postanowienie. Nigdzie wprawdzie nie miała swojego domu, ale duszą należała do wsi. Tęskniła coraz bardziej do zielonych pól, nieba nie przesłoniętego dachami i świeżego wiatru. Marzyła o miejscu pełnym purpurowych i żółtych bratków, tak jak tam, w Paryżu, gdzie opowiadała Paulowi o wyśnionym ogrodzie.

Bez specjalnych nadziei odpowiedziała na ogłoszenie znalezione w gazecie: potrzebna była uczciwa osoba, która starannie zaopiekowałaby się domem w Norfolk podczas rocznej nieobecności właściciela. Gdyby się udało, byłoby to idealne miejsce na urodzenie dziecka.

Starła się o nim myśleć jako tylko jej własnym. Skoro Paul nie chciał jej, to tym bardziej nie mógł chcieć niemowlaka, który tylko odciągałby go od życia pełnego wydarzeń i emocji. Rozumiała teraz, że wykorzystywał swój czar i urodę, aby uzyskiwać to, czego pragnął, obojętne, jak bardzo mogliby ucierpieć na tym inni. W swoim sobkostwie był właściwie niewinny jak dziecko i jak dziecko otaczany miłością. Inni musieli dojrzewać i brać na siebie odpowiedzialność, ale nie Paul i jemu podobni: oni szli przez życie rozdokazywani i rozpieszczani.

Podczas dni pełnych zgryzoty pewnym pocieszeniem stała się dla Briony świadomość, iż Sheena wcale nie była tak sprytna, jak jej się wydawało. Ciągłe była przeświadczona, że Paula można schwytać i zagarnąć na własność. Briona wierzyła jednak święcie, że przynajmniej przez krótką chwilę Paul ją naprawdę kochał, a skoro i to nie wystarczyło, jakież szanse miała Sheena?

We wtorek, dwa tygodnie po owym nieszczęsnym wypadku na Fleet Street, otrzymała odpowiedź z Norfolk. Właściciel chciał się z nią spotkać podczas swej krótkiej wizyty w Londynie. Briona zadzwoniła pod wskazany

numer i ustalili termin i miejsce spotkania.

W obawie przed rozczarowaniem usiłowała wprawdzie ostudzić nadzieję, niemniej wbiegła do restauracji pogodna i radosna, jak nie zdarzało się jej od wielu już dni. Przyjmowała zamówienia, podawała potrawy i sprzątała po gościach, ale myślami była już w Norfolk, gdzie pielila ogródek i przygotowywała wyprawkę dla dziecka. Miała nadzieję, że zorientowawszy się w jej stanie, kierownictwo nie będzie robiło trudności z natychmiastowym rozwiązaniem umowy.

Nagle zobaczyła Paula. Siedział przy stoliku nie należącym do jej sektora i wpatrywał się w nią wzrokiem tak zimnym, że poczuła na plecach ciarki. Także ręce zaczęły jej się trząść, gdyż znowu poczuła się bezbronna i obnażona jak wtedy, przed agencją.

To niemożliwe, pomyślała, znowu jakieś zwidy. A jednak siedział tam, elegancki, przystojny, jak najbardziej rzeczywisty i wpatrywał się w nią z chłodną uwagą badacza, który natrafił oto na nieznanego owada.

Poczuła, jak cały spokój, który tak pracowicie budowała, niknie, a ona zaczyna się rozpadać, rozsadzana od wewnątrz wcale nie przez nienawiść, lecz przez miłość, równie płomienną jak w wyśnionym, słonecznym Paryżu.

Tymczasem w jego oczach miejsce obojętności zaczęła zajmować nienawiść. Na Boga, czyżby więc powinna była zniknąć z powierzchni Ziemi, kiedy on już się nią nasycił? Czy to jej wina, że pojawił się niespodziewanie, a ona przypomniała mu chwile, o których chciał najwidoczniej zapomnieć? Miała nadzieję, że pełen złości wstanie i wyjdzie z restauracji, tymczasem wpatrywał się w nią nieustannie i odwrócił wzrok dopiero wtedy, kiedy przy stoliku zjawiła się właściwa kelnerka.

Wraz z tym czar został zdjęty z Briony i znowu mogła poruszać się i lawirować między stolikami sprawnie jak przedtem, szczęśliwa, że ani na chwilę nie będzie musiała się zbliżyć do stolika Paula.

Ilekczo zerknęła w tamtą stronę, napotykała jego niezmiennie zimny wzrok. Przez chwilę pomyślała, że może zjawił się tu właśnie po to, by na nią popatrzeć, ale zaraz uznała, że takie zachowanie zupełnie nie pasowało do niego, człowieka czynu i zdobywcy.

O cóż zatem mogło chodzić? Przez dwie godziny bezskutecznie starała się znaleźć odpowiedź na to pytanie, aż w pewnej chwili jej wzrok napotkał już tylko pusty stół i odsunięte krzesło, a zamiast spodziewanej ulgi ogarnął ją żal.

Paul nienawidzący jej, to było lepsze od braku Paula w ogóle, ale za co, na Boga, mógł jej nienawidzić? To on usunął Brionę ze swojego życia, a nie na odwrót. To on bez słowa odłożył słuchawkę, gdy zadzwoniła do Hongkongu, to on zmierzył ją obcym spojrzeniem przed wejściem do Universal Press na Fleet Street.

Dyżur skończyła kilka godzin później, a w głowie dalej kłębiły się

niejasności i pytania bez odpowiedzi. Poszła prosto do swego pokoju i wpatrzyła się w podniszczoną fotografię, na której uśmiechali się do siebie radośnie, a której nie miała siły podrzeć i wyrzucić. Nie przenosiła na nią swego żalu i traktowała jako swego rodzaju talizman, ostatnią nić wiążącą ją z Paulem. Z Paulem, który teraz usiłował zadawać ból. Dlaczego?

Powtarzała wprawdzie sobie, że przecenia znaczenie tego zdarzenia, być może najzupełniej przypadkowego, ale intuicja – jedyna doradczyni w kontaktach z Paulem – podpowiadała, że zjawił się w hotelu z jakimś zamysłem, gdyż wszystko czynił z wyrachowaniem i zastanowieniem.

Cóż to mógł być za zamysł? Zagadka ta nie dawała Brionie spokoju przez całą noc i następny poranek. Opuściła ją gdzieś mechaniczna sprawność i podczas śniadania myliła zamówienia, a nawet gości.

Dyżur wreszcie się skończył i pospieszyła do pokoju, by zrzucić uniform kelnerki. Wczesnym przedpołudniem umówiła się z właścicielem domku w Norfolk w cichym hoteliku na Bloomsbury. Oczekiwała starszego jegomościa, a tymczasem pan Arthur M. Frobisher – jak brzmiał podpis pod listem – miał niewiele ponad trzydzieści lat. Wydawało się, że najbardziej lubi rozmawiać o ogrodzie i był wyraźnie uradowany, kiedy w Brionie odnalazł pokrewną duszę. Pół godziny później wracała do hotelu z pobrzękującymi w torebce kluczami do jej nowego, choć tymczasowego, jak zwykle, domu w Norfolk. Wcześniej wręczyła panu Frobisherowi czek opiewający na połowę jej wszystkich oszczędności. Nie wiedziała, jak sobie poradzi finansowo, ale dzisiaj nie chciała już sobie zaprzętać głowy tym problemem.

Także i tym razem zdecydowała się, pomimo wygórowanej ceny, pod wpływem impulsu, jak wtedy, kiedy postanowiła wyjechać do Paryża. Teraz bardziej niż przed ponad trzema miesiącami chciała się oderwać od wszystkich znanych osób, sytuacji i miejsc.

Znalazłszy się w hotelu, natychmiast poszukała dyrektora. Był zajęty, ale przyjęła ją jego zastępczyni, panna Simpson, czterdziestoletnia, dystyngowana dama, która zawsze wydawała się Brionie bardziej gościem hotelu niż pracowniczką.

Jej prośba spotkała się z wyrozumiałością i sympatią. Panna Simpson wiedziała o ciężkich doświadczeniach Briony, a na wieść o ciąży położyła w opiekuńczym geście rękę na ramieniu dziewczyny.

– Skoro takie jest pani życzenie, moja droga, może pani zakończyć pracę u nas w najbliższy piątek. Jeśli coś mogę sugerować, to radziłabym bezpłatny urlop; kiedy dziecko już się urodzi i załatwi pani jakąś opiekę nad nim, miejsce u nas będzie na panią czekało.

– Bardzo jestem wdzięczna – odparła Briona – ale chyba będę musiała poszukać innej pracy, czegoś na pół etatu. Chcę jak najwięcej czasu poświęcić dziecku.

Gdy opuszczała gabinet panny Simpson, czuła się jak w siódmym niebie. Miała dom dla siebie i dziecka, jej zobowiązania w pracy wygasły z końcem tygodnia; całe życie kompletnie się zmieniało. Ach, jakże chciałyby znaleźć się już w Norfolk.

Tuż przed południem zeszła do restauracji, ale nie napotkała już nieprzyjaznego spojrzenia Paula Deverilla. I choć tym razem poczuła ulgę, to przecież zmieszana z uczuciem zawodu. Niecierpliwie oczekiwała teraz przyścia na świat dziecka, ale kiedy jej wzrok spoczął na pustym stoliku, zrozumiała, jak bardzo potrzebuje także jego ojca.

Paul nie pojawił się również w czwartek, choć tym razem już się go nawet nie spodziewała. Wtorkowa wizyta była zupełnie przypadkowa, a może... Skoro, jak mówił, nie lubił jadać samotnie, może przyszedł, żeby popłirtować z jakąś dziewczyną, a nieoczekiwana obecność Briony popsowała mu tylko szyki i stąd długie, nienawistne spojrzenia. Jakiś cichy głosik szeptał w duszy Briony, że to wszystko nie pasuje do Paula, któremu obca była mściwość, ale... Ale co właściwie wiedziała o prawdziwym Paulu Deverillu z wyjątkiem tego, że potrafi wynieść ją ponad gwiazdy, a potem rzucić w bezdenny lot?

Miała na szczęście co robić. Raz już musiała się pakować, przy przenosinach z Kensingtonu, teraz więc poszło to jeszcze szybciej: zamknęła całe dotychczasowe życie w dwóch pakach i nadała je, tak by dotarły do Norfolk w sobotę.

Zostały jej tylko najpotrzebniejsze rzeczy osobiste i uniformy, które trzeba było zwrócić. Do nowego domu pojedzie nie obciążona, jak do Paryża.

Och, Paul, załkało coś w niej bezgłośnie. Dlaczego? Kochałeś mnie, wiem, że kochałeś. Czyżbyś był jedną z tych osób, które potrafią pokochać tylko płytko i krótko? To dlatego Sheena była tak pewna siebie? Ponieważ wiedziała, że poślubisz tylko kogoś, kto będzie odpowiedni dla twojej pozycji, co z pewnością bardziej pasuje do niej niż do mnie?

Kiedy skończy się wreszcie ta udreka?

Piątek stał się dla niej dniem rozliczeń. Od dawna żyła jak na ruchomych piaskach, nigdzie nie zapuszczając zbyt głęboko korzeni, z niczym nie związana zbyt licznymi więzami.

Teraz wszystkie je miała przeciąć. Popołudniowa herbata wyznaczała także koniec jej dyżuru, a potem była wolna: pozostawało tylko spakować tych kilka drobiazgów i z rana mogła ruszać.

Domek w Norfolk oznaczał nowy początek i nową szansę. Tak wiele razy rozpoczynała nowe życie, iż sama dziwiła się, że ciągle ma nadzieję na zdecydowaną odmianę losu. Choć tym razem nie tyle była to nadzieja, ile bezmierne znużenie obecną sytuacją. Każda zmiana mogła być tylko na lepsze!

W połowie dyżuru odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Natychmiast pomyślała o Paulu, ale wszędzie przy stolikach siedzieli nieznajomi. Nie mogła

się jednak uspokoić, aż wreszcie jej myszkuje spojrzenie odnalazło go w drzwiach.

Stał wpatrzony w nią w tej pozie absolutnej pewności siebie, której tak mu zazdrościła. Usiłowała się skupić na swych obowiązkach i za wszelką cenę nie spoglądać w jego stronę.

Bardziej poczuła, niż dojrzała, jak idzie przez wielką salę. Dreszcz oczekiwania unosił się od dołu krzyża coraz wyżej i wyżej, wręcz ją paraliżując, aż jej ukochany, ojciec jej dziecka, Paul Deverill, stanął tuż obok i powoli opadł na fotel.

– Przepraszam pana, ale stolik nie jest jeszcze zupełnie przygotowany – powiedziała odruchowo, czując zarazem idiotyzm tych rutynowych słów. Czyż to nie śmieszne zwrócić się tak do mężczyzny, który trzymał ją kiedyś w czułym uścisku i kochał tak, jak nigdy dotąd nie była kochana? Z drugiej jednak strony, czyż mogła potraktować go inaczej niż jak obcego klienta? Wszak o to mu chyba chodziło?

Ale jeśli tak, po co w ogóle przyszedł?

– Nie spiesz mi się. Mogę poczekać – padła spokojna odpowiedź.

– Paul... – szepnęła mimowolnie.

– A zatem pamięta pani, jak mi na imię? Czuję się pochlebiony.

– Paul, proszę... – Ale tak naprawdę nie wiedziała, o co prosi, o co chce prosić, o co może prosić.

– Kiepsko jakoś pani wygląda, pani Hammond – powiedział chłodnym głosem, w którym można było wyczuć tłumiony gniew. Za cóż mógł gniewać się na nią? Litości! – Czy pani mąż nie potrafi doprawdy lepiej się o panią zatroszczyć? A może to upojne noce odpowiedzialne są za cienie pod oczyma? Jeszcze trochę pamiętam, jak... nieskrępowana potrafi być pani w nocy.

Briona stanęła jak wryta. Niezależnie od całego oburzenia i poniżenia, jakie odczuła, pewna część mózgu zarejestrowała, że Paul dowiedział się o jej małżeństwie. Nie miał jednak pojęcia, że nie tylko stała się żoną innego mężczyzny, ale także i wdową. To było coś, co mogłaby przeciwstawić okrutnemu atakowi, gdyby... Gdyby wiedziała, o co mu chodzi.

I nagle olśniła ją myśl. Sheena oznajmiła, że to fakt jej związania z innym człowiekiem prowokuje Paula. Wieczny myśliwy chciał, żeby się ukorzyła, a kiedy już zdradziła Matthew, miał nadzieję, iż na zawsze już pozostanie jego, Paula Deverilla, własnością, choćby ten przestał się nią interesować.

Poczuł się pewnie straszliwie urażony, kiedy odkrył, że jednak wyszła za Matthew. Nie znał okoliczności i dlatego jego ambicja domagała się zemsty. Dlatego był teraz tutaj. Dlatego ją prześladował. Sądził, że była z Matthew, a przecież powinna ciągle śnić o nim. I w jednej chwili powróciła dawna nienawiść.

Paul natomiast nie był jeszcze syty zemsty.

– Jest pani może tak... nieskrępowana z Matthew, jak bywała pani ze mną? I czy aby on wie, że to mnie zawdzięcza tę drobną przemianę, która w pani nastąpiła?

– Przestań! – krzyknęła Briona, nie panując nad głosem. – Przestań natychmiast!

Brwi Paula uniosły się w wyrazie zdziwienia.

– Doprawdy, czyżby z gwałtowności pani reakcji należało wnosić, że żałuje już pani tych pospiesznych zaślubin? Czegoś takiego można było się spodziewać, ale wszystko da się załatwić.

– Co pan ma na myśli? – zapytała, starając się dostosować do jego zimnej nienawiści.

Sięgnął po jej dłoń, podniósł ją do ust i ucałował. Nie uszedł jego uwagi dreszcz, który przebiegł Brionę, uśmiechnął się przeto mściwie i złożył w jej ręce klucze z doczepionym adresem.

– Znamy się już zbyt dobrze, moja miła, żeby bawić się jeszcze w półsłówka. Ma pani potrzeby, które zawsze będę potrafił zaspokoić. A pani mąż prędzej czy później sam zrozumie, że nie jest pani tym słodkim aniołkiem, na którego pani wygląda. Ilekroć więc pani zapragnie, ja czekam.

„Moja miła”! Cóż on w ogóle wiedział o miłości? Nic. I jak w ogóle śmiał potraktować ją jak ostatnią dziwkę? Pragnęła ugodzić go jak najboleśniej i nagle znalazła sposób.

– Noszę w sobie dziecko Matthew. To pewien kłopot, który pewnie psuje panu szyki, prawda? Pan, wieczny kokiet, chyba lepiej zrobi ofiarowując te klucze jakiejś innej naiwniaczce! To już nie ze mną!

Cisnęła tacę na stół i wybiegła z restauracji, niczego nie widząc, niczego nie słysząc i pragnąc niczego nie czuć.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kierowca mikrobusu wysadził Brionę w szczerym polu i wskazał jej dróżkę, zarośniętą i wąską.

– Willow Cottage jest parę kroków stąd. Przejeżdżam tędy dwa razy, o dziesiątej i piętnastej, gdyby to panią interesowało.

Poczekala, aż wóz zniknie w tumanach kurzu i ruszyła ścieżką. Po zaduchu panującym w autobusie lekki powiew stanowił prawdziwą ulgę.

Brnęła przed siebie, nieustannie spoglądając pod stopy, gdyż traktorowe koleiny tak zarosły zielskiem, że stale potykała się o nierówności.

Znała wieś na tyle, by orientować się, że „parę kroków” może oznaczać równie dobrze jeden, jak pięć kilometrów, ale droga wiała się w nieskończoność, a ciągle nie było widać żadnego domku i żadnych w ogóle zabudowań.

Nesesor zaczynał nieznośnie ciążyć, a dzinsy przywierały do spoconych nóg. Co gorsza, wiedziała, że nie ma żadnych butów, którymi mogłaby zastąpić uwierające coraz bardziej z każdym krokiem mokasyny.

Sama podróż z Londynu była dostatecznie męcząca: pociąg z przesiadką, potem autobus, wreszcie mikrobus. Fizyczne wyczerpanie było jednak niczym w porównaniu z psychiczną udręką. Paul nie odstępował jej ani na kilometr, ani na metr. Nieprzerwanie odtwarzała okropną scenę w restauracji i rozpaczliwie szukała jakiegoś wytłumaczenia dla jego barbarzyńskiego zachowania.

Nic nie przychodziło jej do głowy i oto była teraz tutaj, na piaszczystej dróżce, ciągle osaczona przez okrutne wspomnienia i w żaden sposób nie potrafiąca uporać się z nimi. Ach, dlaczego się natknęła na niego w Paryżu. Bezlitosny prześladowca, którym się stał, nie potrafił zabić w niej wspomnienia najukochańszego na świecie człowieka, którym był przez chwilę. Przez chwilę?

Oganiała się bez przerwy od nieznośnych os, ale przed oczyma miała nieustannie wrogie spojrzenie, tak kiedyś czułe... W uszach rozbrzmiewał bezlitosny głos, tak kiedyś pieszczotliwy... Ciało pragnęło dotyku, który kiedyś dawał jej takie poczucie bezpieczeństwa i szczęścia...

Kiedyś... Tak zaczynają się bajki... „Kiedyś, dawno, dawno temu...” Nie, nieprawda, to nie bajka, to się wydarzyło! Ale przecież trzeba było wreszcie skończyć ten taniec wyobrażeń. Zaraz odnajdzie domek, a otwierając jego drzwi zamknie za sobą przeszłość.

Za kolejnym zakrętem zobaczyła w końcu dom, dokładnie taki, jaki sobie wymarzyła. Przyspieszyła kroku i zaraz pojawiła się myśl, czy aby wszystko nie jest zbyt piękne. Malwy kwitnące na potęgę, winorośl wokół okien i ogród równie dziki jak jej marzenia...

Doprawdy, pan Frobisher nic nie przesadził, mówiąc, że jest miłośnikiem bujnej roślinności. A pod drzwiami stały dwie jej paki; Briona bez trudu mogła

sobie wyobrazić, jak kłął pod nosem kierowca, podskakujący na wybojach.

Z westchnieniem ulgi postawiła neseser na jednym z kartonów i poszukała w torebce kluczy. Zatrzymała się w progu. Chociaż pan Frobisher zapowiadał, że opuści domek dzień wcześniej, wydawało się, iż od dawna nikt w nim nie mieszkał. Wiedziała, że natychmiast trzeba było otworzyć okna, ale zrobiła tylko kilka kroków i znowu stanęła.

Straszny nieporządek. Gazety porozrzucane po meblach i podłodze. Brudne naczynia, nie uprzątnięte popielniczki, śmiecie i kurz. Zapłaciwszy tyle pieniędzy, spodziewała się jednak czegoś innego.

W oczach stanęły łzy, ale już dawno przekonała się, że uzalanie się nad sobą w niczym nie pomaga, a pogłębia tylko smutek. Znacznie lepiej było się rozżłościć. Nic dziwnego, że szanowny pan Frobisher tak wiele mówił o ogrodzie, a tak mało o samym domku! Szkoda, że nie miała czasu, by sprawdzić najpierw oferowane jej lokum; trudno, kupiła kota w worku.

Pełna irytacji zaczęła otwierać okna, ale wędrowniczka po pokojach upewniła ją w podejrzeniu, że cały domek był równie zapuszczony i brudny. Poczowała przypływ mdłości, a bojąc się siadać na czymkolwiek, wybiegła przed drzwi i z twarzą ukrytą w dłoniach opadła na jedną ze swych pak.

Nudności minęły, a wtedy podniosła się i dla uspokojenia kilka razy okrążyła ogródek, a potem powróciła do wnętrza. Chwalić Boga, działała elektryczność i bojler do podgrzewania wody. W kuchennym schowku znalazła odkurzacz, a także wszystko, co było potrzebne do generalnego sprzątanía. Po co pan Frobisher gromadził te wszystkie środki, skoro ich nie używał? Może opuściła go żona, albo mając już dość nieporządku, zdecydował się wyjechać za granicę w nadziei, że w tym czasie ktoś za niego odwali całą czarną robotę?

Pod wieczór Brionie udało się doprowadzić do stanu używalności kuchnię, łazienkę i salonik. Reszta pomieszczeń musiała poczekać do jutra. Dziewczyna była zmęczona i głodna. Całe szczęście, że do jednego z kartonów zapakowała trochę wiktuałów.

Sprzątanie zabrało jej trzy następne dni; ku wielkiej uldze okazało się, że wszystkie zadziwiająco nowoczesne urządzenia działają. Włącznie z automatyczną pralką, do której wrzuciła wszystko, co dało się pozdejmować ze sprzętów, ścian i wydobyć z szaf. Wszystko schło znakomicie na słońcu.

Skrobiąc, szorując i wycierając, niezmiennie powtarzała sobie, że praca jest najlepszym lekarstwem. Nawet jeśli rzeczywiście tak było, ów medykament nie wystarczał: czasami pośród najbardziej żmudnych i nużących czynności nagle chciało jej się wyć, gdyż czuła, jakby Paul stał tuż obok, w zasięgu głosu, ręki, ust... Wtedy ironicznym szeptem powtarzała tak dobrze zapamiętane zdania, najczęściej zaś: „Mam do czynienia jedynie z twardymi faktami. Marzenia i fantazje zostawiam innym.”

Żadne jednak zmory i żadne udreki nie mogły jej przeszkodzić w

szykowaniu domu na powitanie dziecka. Dziecka... małego Paula lub małej Pauli. Próbowwała także innych imion, ale zawsze ostatecznie powracała do tych dwóch. Paulowi bardzo by to pochlebiło i może nieco złagodziło ból zranionej ambicji.

Niech go diabli! Dlaczego musiała tak kochać tego mężczyznę? Dlaczego nie zniknął raz na zawsze z jej głowy i z jej serca?

W środę Briona uznała, że dom stał się już dość schludny, by pojawiły się w nim kwiaty. W ogrodzie nacięła róż i białych chryzantem, potem zabrała się za same grządki i rabatki; zanim zapadł wieczór, frontowa strona domu zmieniła się nie do poznania. Bardzo lubiła taką pracę, zmęczenie zatem, które było jej efektem, odczuła jako przyjemność. Czas już było wykapać się i odpocząć.

Pławiła się w gorącej wodzie, aż zaczęła zasypiać. Wyszła z wanny i wycierając się, dokładnie obejrzała swój brzuch. Naprawdę się zaokrąglił czy to tylko złudzenie? Z radosnym uśmiechem nałożyła szorty i lekką bluzkę, z uznaniem popatrując na opaleniznę, która pojawiła się na skórze. Była wściekła na Paula za to, co powiedział o jej marnym wyglądzie. Może i miał rację, ale czy musiał zaraz mówić?

Westchnęła cicho. Wciąż ten Paul. Wszystkie jej myśli i sny z nim się ostatecznie wiązały. Nie była wcale pewna, czy rzeczywiście chce się od niego uwolnić; może należało zgodzić się na jego obecność w marzeniach, skoro nigdzie indziej nie mogli już być razem.

Chciała ułożyć się na sofie, kiedy usłyszała warkot samochodu. Któż to mógł być, skoro droga prowadziła tylko do jej chatki i nigdzie dalej? Stała w otwartych drzwiach i przypatrywała się zdumiona autu, które podskakując na wertepach właśnie zatrzymywało się przed bramą.

Pewnie kierowca zgubił drogę, pomyślała i zeszła na ścieżkę. Z wozu wysiadł niski mężczyzna w średnim wieku, ubrany w garnitur bardzo nieodpowiedni na tak upalny dzień. Zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem i zapytał:

– A co pani tutaj robi? Briona uniosła brwi.

– O to samo miałam właśnie pana zapytać.

– Nazywam się Quentin Baxter i reprezentuję interesy właściciela tej posiadłości. A gdzie to podział się szanowny pan Arthur? Jakikolwiek fortel obmyślił sobie tym razem, z panią w głównej roli kobiecej, nic mu już nie pomoże. Sądowy nakaz eksmisji nie pozostawia żadnej wątpliwości i zaraz zjawi się tutaj policja.

Briona w osłupieniu wpatrywała się w mówiącego. Czyżby upał rzucił mu się na mózg?

– Nie rozumiem, o jakich fortelach może być mowa. Zapłaciłam panu Arthurowi Frobisherowi najprawdziwsze tysiąc funtów i dlatego...

– A jak wyglądał ten pani dobroczyńca?

– Niewiele ponad trzydzieści lat, włosy ciemnoblonde, nie najlepsze zęby, ale bardzo miły w obejściu, choć bardzo rozczarował mnie widok domku. Od soboty czyszcze tu wszystko i sprzątam.

– Przykro mi, młoda damo, ale została pani ocyganiona. Człowiek, którego pani opisała, zamieszkał tu bezprawnie, a prawdziwi właściciele od trzech miesięcy czekają na nakaz eksmisji. Nie wiem, jakie zapadły uzgodnienia między panią a panem Frobisherem, nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że czym prędzej musi się pani stąd wynieść.

– Ale przecież – wyrzuciła Briona z siebie głosem łamiącym się z rozpaczu – nie mam gdzie się podziać i nie mogę sobie pozwolić na stratę tysiąca funtów.

– Trzeba było najpierw upewnić się co do swego kontrahenta – oznajmił sucho prawnik. – Mężczyzna, który przedstawił się pani jako Arthur Frobisher, nazywa się naprawdę Derek Arthur, a jedyne co teraz pani pozostaje, to powiadomić policję o oszustwie. Wątpię jednak, by zobaczyła pani jeszcze pana Arthura albo swoje pieniądze. Tak czy owak, stanowczo nalegam, by natychmiast opuściła pani ten dom, w przeciwnym wypadku będę musiał odwołać się do pomocy sił strzegących prawa.

Straszliwa prawda powoli zaczęła docierać do Briony. Nie miała domu, pracy, wyrzuciła też w błoto połowę oszczędności. Mogło się to wydać małosłowne, ale z rozpaczą pomyślała o daremnym trudzie ostatnich dni. Usłyszała, że drogą nadjeżdża kolejny samochód. A cóż to znowu, jakiś rajd? – pomyślała ze straceńczym humorem.

Zdaje się, że była to już zbyt duża porcja emocji dla jej udręczonego umysłu. Jak przez mgłę dostrzegła zatrzymującego się koło samochodu pana Baxtera range rovera. Bardzo też niewyraźnie zobaczyła sylwetkę wysokiego, silnego mężczyzny. Paul, pomyślała i przekrzywiła głowę, chcąc dopomóc zmęczonym oczom. Jaki Paul, przecież to niemożliwe...

Ale nawet ta myśl rozmyła się jakoś i rozlała, a wraz z nią rozplątał się cały świat Briona osunęła się miękko na ścieżkę, a wszystko zapadło się w błogą czerń snu.

Przychodziła do siebie bardzo powoli i wcale nie była pewna, czy naprawdę tego chce. W zapomnieniu nic nie bolało i nic nie dręczyło. Pragnęła być nikim, gdyż wtedy nic złego nie mogłoby się już jej przytrafić. Wiedziała, że marzenie to się nie ziści, ale tak przyjemnie było sobie leżeć i nie musieć robić niczego więcej.

Ale gdzie właściwie leżała? Na czymś wygodnym i najwyraźniej przykryta kocem. Dziwne, dobrze przecież pamiętała upał, który trwał przez cały dzień, aż do chwili omdlenia. Co za głupota! Jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się stracić przytomności.

Na czole spoczywało coś rozkosznie zimnego. Westchnęła; jeszcze tylko

trochę tak sobie poleży, trzymając obrzydliwy świat za zasłonami powiek. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz było jej tak dobrze. Gdyby jeszcze miała Paula u swego boku, czułaby się jak w raju. Już tam kiedyś była, z Paulem i dzięki niemu.

Paul! Raptownie otworzyła oczy na wspomnienie sylwetki mężczyzny, który wysiadł z range rovera. I dojrzała właśnie jego! Nie ulotny obraz, nie bezcielesne wspomnienie, lecz Paula z krwi i kości, tak kochanego i tak nie kochającego.

Nie kochającego!

– Co tutaj robisz? – zapytała głosem zbyt słabym na to, aby mógł zabrzmieć oskarżycielsko. – Przynajmniej tutaj chciałam mieć bezpieczne schronienie. – Och, nie, jęknęła w duchu, przecież mnie stąd wyrzucają!

Delikatnym gestem Paul ułożył ją znowu na poduszce. Wstrząsnęła się na wspomnienie innych chwil i innych dotyków, Paul jednak źle zrozumiał ten dreszcz i pospiesznie zapewnił:

– Nikt cię stąd nie wyrzuci, nie bój się. Leż spokojnie, zaraz zjawi się lekarz.

Briona zmierzwiła ręką włosy, nic nie rozumiejąc ze słów ukochanego.

– Jaki lekarz? Do mnie? Nie, nie trzeba.

– Aha, i dlatego osunęłaś mi się w ramiona? Wydostałem od tego idioty, Baxtera, numer miejscowego doktora i wezwałem go z mojego telefonu komórkowego. Już tu jedzie.

Co się kryło za tą jego opiekuńczością? Jaki cios chciał jej znowu zadać? Briona przygryzła wargę, a kiedy przypomniała sobie jego słowa, że zawsze w tej sytuacji chciałby ucałować jej usta, poczuła łzy w oczach.

– Błagam cię, Briono, nie płacz – mruknął Paul i odwrócił głowę. – Wiem mniej więcej, co robić, kiedy mdlejesz, ale zupełnie nie wiem, co robić, kiedy płaczesz.

– Nic nie rozumiesz. Policja...

– Alarm już odwołany. Porozmawiałem chwilkę z panem Baxterem, apelując i do jego chciwości i do tchórzostwa. Nie czuł się zresztą zbyt pewnie, widząc, jak cię przeraził.

– Ale – wyznała głosem drżącym i płaczliwym – muszę się stąd wynieść, a nie mam ani żadnego lokum, ani pieniędzy.

– Przestań się zamartwiać – powiedział łagodnie Paul. – Potem porozmawiamy o wszystkim.

Jacy my?

Lekarz okazał się tak wyrozumiały i serdeczny, że niespodziewanie dla samej siebie Briona otworzyła przed nim serce tak, jak jej się to nie zdarzyło od czasu nocnej rozmowy z Daisy. Paul w tym czasie siedział w ogródku.

Badanie wykazało, że wszystko jest w porządku, nie powinna tylko

przemęczać się i nadmiernie denerwować.

– Nie potrafię siedzieć beczynnie – powiedziała.

– Nie chodzi o beczynność. Trochę ruchu jest jak najbardziej wskazane. Chodzi jedynie o to, żeby nie odmawiała pani sobie odpoczynku, kiedy poczuje się zmęczona. Podkreślam: zmęczona, a nie wyczerpana.

Briona podziękowała i patrzyła, jak doktor zbiera się do wyjścia. Z zewnątrz dobiegły ją niewyraźne głosy. Lekarz na pewno myślał, że Paul jest bliską jej osobą, a tymczasem... Z jednej strony, tak ogromnie bliski, z drugiej – tak niezwykle daleki.

Przygotowywała w kuchni herbatę, gdy wszedł Paul.

– Uparta jak zwykle – powiedział z wyrzutem. – Przecież ja mogłem to zrobić.

– Zupełnie dobrze po... – zaczęła, ale w pół zdania została porwana z podłogi i zaniesiona z powrotem na sofę.

– I masz się nie ruszać – usłyszała stanowcze polecenie, którego tylko częściowo posłuchała, gdyż zaraz usiadła z plecami opartymi o poduszkę i podejrzliwie wsłuchiwała się w odgłosy dobiegające z kuchni. Niezależnie od błogości, jaką czuła w jego ramionach, niezależnie od przyjemności bycia obsługiwana, ani na chwilę nie zamierzała zapomnieć, że ten właśnie mężczyzna rozkochał ją kiedyś w sobie, a potem porzucił!

– Myślę, że powinnaś wziąć jakieś środki uspokajające; miałaś okropne przeżycia, a na dodatek jeszcze ta harówka.

– Dziękuję, nic mi nie potrzeba – odparła chłodno.

– Przecież chodzi nie tylko o ciebie, ale także o dziecko.

– Dziękuję, że mi przypomniałeś.

Przez chwilę milczał, a potem powiedział łagodnie:

– Pij herbatę.

Dopiero teraz Briona rzeczywiście poczuła, jaka była spragniona. Płyn zdążył już trochę ostygnąć, wychyliła więc w kilku łykach zawartość filiżanki, a ujęta tym, że Paul nie reagował na zaczepkę, poinformowała go cicho:

– Naprawdę czuję się dobrze. Wszystko będzie w porządku, nie musisz już tu ze mną siedzieć.

– Chcę zabrać cię ze sobą – oznajmił równie ściszym głosem.

Spojrzała na niego zdumiona, a potem ze spokojem, który zdziwił ją samą, rzekła:

– Wiesz co, Paul, masz naprawdę bardzo osobliwe poczucie humoru.

– Nigdy w życiu nie byłem poważniejszy. Przeżyłaś prawdziwe piekło i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Nie masz teraz męża, domu, pieniędzy, a dziecko jest w drodze. Jeśli zgodzisz się wyjść za mnie, zadbam o twoją wygodę i bezpieczeństwo, przyrzekam też, że będę traktował dziecko Matthew jak swoje własne.

Briona w pierwszej chwili oniemiała z wrażenia.

– Boże, do czego może popchnąć urażona duma! Mało ci, że on nie żyje, jeszcze chcesz położyć rękę na jego kobiecie za to, że poślubiła jego, a nie ciebie? – Zaniosła się spazmatycznym płaczem.

– Przestań! – krzyknął Paul. – Przestań wszystko składać na karb mojej dumy, mojej urażonej ambicji i przypisywać mi najpodlejsze intencje. Zrozum wreszcie, że kocham cię, naprawdę kocham! Jak myślisz, dlaczego łąziłem za tobą jak durne ciele? Dlaczego nie mogłem oderwać od ciebie oczu? Bo każda chwila spędzona z dala od ciebie wydaje mi się stracona i idiotyczna, dlatego!

– Ach, tak, miłość – odparła szorstko. – A co ty o niej wiesz? Gdybyś choć trochę mnie kochał, zadzwoniłbyś w tamten poniedziałek, jak obiecałeś.

– I zadzwoniłem!

– Co takiego??? – Żeby tak kłamać w żywe oczy, pomyślała oburzona Briona. – Uważasz mnie za pierwszą naiwną? Zadzwoniłeś i nie zostawiłeś żadnej wiadomości, dobre sobie!

– A co w tym dziwnego! – Paul podskoczył do sofy i gwałtownie schwycił ramiona Briony, ale już w następnej sekundzie rozluźnił uścisk. – Powiedziano mi, że pani Spenser jest od dwóch dni panią Hammond. I jakie ci niby miałem zostawiać wiadomości? Życzenia z okazji ślubu? Pytanie o termin wesela? Poczulem, że wyszedłem na kompletnego durnia. Prosto z moich uścisków skoczyłaś w ramiona innego! Nie chciałem nawet podać swego nazwiska.

Briona poczuła, że za chwilę jeszcze raz zemdleje. Wpatrzyła się w oczy Paula, rozpaczliwie szukając w nich potwierdzenia tych słów jak ze snu.

– Ale przecież kiedy zadzwoniłam do ciebie, po prostu odłożyłeś słuchawkę.

– Kochałem cię, a ty wyszłaś za innego mężczyznę. Przyrzekłaś mi, że weźmiesz ślub tylko z miłości, co więc mogłem sobie pomyśleć? Uznałem, że zrobiłaś sobie wyskok do Paryża, żeby jakimś mniej czy bardziej efektywnym flircikiem zakończyć panieńskie życie, a potem rozpocząć żywot statecznej małżonki, do którego zawsze tęskniłaś. Dobrze, że dzieliło nas tyle kilometrów, bo inaczej nie ograniczyłbym się do ciśnięcia słuchawką. Raczej zadusiłbym cię na miejscu.

– No a potem... – bąknęła Briona, która tak bardzo pragnęła mu uwierzyć i tak bardzo uwierzyć nie mogła. – Potem, przed agencją... była Sheena, a ty ją całowałeś...

– Szedłem z nią na obiad, bo właśnie skończyła dla nas cykl reportaży. A ponieważ ciągle byłem na ciebie wściekły i urażony, chciałem stworzyć wrażenie, że zupełnie już mi na tobie nie zależy. Ale to tylko taka głupia, szczeniacka satysfakcja, która nie zmieniała faktu, że myśl o tobie prześladowała mnie co dzień, co godzina. Odnalazłem cię w tym hotelu na

Kensingtonie, potem dowiedziałem się, że pracujesz na Mayfair. Powlokłem się tam za tobą w nadziei, że jakoś uda mi się w końcu pogodzić z myślą, że jesteś żoną innego człowieka i przestać wreszcie za tobą tęsknić. Tymczasem im dłużej na ciebie patrzyłem, tym bardziej cię pragnąłem.

– Paul – Briona wpadła mu w słowo – nie możesz teraz żartować sobie ze mnie, to zbyt poważna sprawa.

– Przysięgam, że to prawda. Usiłowałem się bronić, przypisując ci najgorsze cechy, jakie byłem w stanie wymyślić. Między innymi stąd te klucze i całe to obelżywe zachowanie w ubiegły piątek.

– A ja myślałam... – wyszeptła bezradnie – że to twoja urażona ambicja...

– Ambicja? Ile też urażonej ambicji ma w sobie mężczyzna, który, chcąc nie chcąc, łązi za mającą go za nic kobietą? Dopiero kiedy wybiegłaś, ciskając klucze na stół, pojawił się ktoś z kierownictwa hotelu i, żeby załagodzić całą scenę, opowiedział mi o pospiesznym ślubie i prawie natychmiastowym wdowieństwie. Możesz sobie wyobrazić, jak się wtedy poczułem!

– Ale przecież – powiedziała z namysłem Briona, która ciągle nie potrafiła do końca uwierzyć w to, co słyszała – to było w piątek, a dzisiaj mamy środę.

– Codziennie zjawiałem się potem w restauracji, ciebie jednak nie było i zacząłem się obawiać, że może wzięłaś urlop albo coś takiego. Poszedłem do kobiety zajmującej się sprawami personelu, ale ta nie chciała mi udzielić żadnych informacji, tyle że na biurku leżał list adresowany do ciebie i niepostrzeżenie udało mi się odcyfrować adres.

List... Pewnie czek z ostatnią wypłatą i opinia pracodawcy. Ostatnia nitka, która łączyła ją jeszcze z hotelem, a jednak to właśnie dzięki niej Paul dotarł tu wreszcie.

– Briono – usłyszała jak przez mgłę ukochany głos – teraz rozumiem, jakie to było aroganckie urojenie, iż ot tak sobie, po prostu, wygnam Matthew z twego serca i z twojej pamięci, ale, widzisz, pokochałem cię od pierwszego wejrzenia i nieustannie cię kocham. Wydaje mi się, że i ty żywiłaś do mnie jakieś uczucie, więc jeśli teraz pozwolisz tylko, bym zajął się tobą, zrobię wszystko, żeby tamte chwile wróciły. Nie chcę niczego więcej... tylko możliwości zaopiekowania się tobą i dzieckiem.

Nagle bezsiła gdzieś zniknęła i Briona ze wszystkich sił wtuliła się w Paula. Tyle chciała mu powiedzieć, ale od czego zacząć i jak to zrobić? W końcu poprzez zgiełk cisnących się na usta słów przebiły się te najważniejsze.

– Och, Paul, to nasze dziecko. W tamten piątek skłamałam, żeby ci dokuczyć. To okropne, ale tak strasznie mnie wtedy zraniłeś.

– Nasze??? – Paul odsunął ukochaną na całą długość ramienia i wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

Ona pokiwała głową, a potem dodała, żeby rozproszyć wszelkie wątpliwości.

– Kiedy wróciłam do Londynu, Matthew w stanie krytycznym leżał w szpitalu. Bardzo chciał mnie poślubić, a lekarz twierdził, że muszę zrobić wszystko, co możliwe, aby dodać mu sił i chęci do życia. Nie miałam czasu na namysły, nie miałam też żadnej możliwości zawiadomienia ciebie. Wiedziałam, że nigdy nie będę naprawdę jego żoną, ale przecież nie mogłam mu tego powiedzieć ani przed operacją, ani tuż po niej. Byłam pewna, że jeśli naprawdę mnie kochasz, zrozumiesz wszystko i poczekaasz cierpliwie do chwili, gdy będę mogła wziąć rozwód. Tyle że...

– Matthew umarł. Kochanie, ile musiałaś znieść, i to nie tylko od losu, ale i z racji mojej głupoty!

– Daj spokój – wyszeptała i wtuliła się w jego pierś. – De oboje musieliśmy wycierpieć? Ale teraz już koniec? Prawda?

– Tak. Skończył się okropny czas – potwierdził Paul i zapatrzył się w Brionę, ona zaś pomyślała, na ile nie znanych jej jeszcze sposobów potrafi spoglądać miłość. Nagle mężczyzna odrzucił głowę i przymknął oczy z wyrazem zachwytu na twarzy. – I pomyśleć! – wykrzyknął. – Rano sądziłem, że straciłem wszystko, a pod wieczór mam już najukochańszą żonę i najbardziej upragnione dziecko.

– Poczekaj – upomniała go Briona. – Jeszcze nie jestem twoją żoną.

– Byłaś od pierwszej chwili, kiedy wpadliśmy na siebie w paryskim deszczu. Tyle że konkury trwały dłużej, niż mógłbym przypuścić.

Łakome, czułe usta wpiły się w jej wargi. Teraz Briona wyraźnie czuła, że jest ktoś, kto jej namiętnie pragnie na całe życie.

I było to cudowne uczucie.